

40443/83
Włodzimierz Zagórski

W XX wieku.

Fantazya humorystyczna.

WARSZAWA

Wydawnictwo Księgarni

Teodora Paprockiego i S-ki

4: Nowy Świat 47.

1896.

W XX WIEKU.

Włodzimierz Zagórski.

W XX WIEKU.

FANTAZJA HUMORYSTYCZNA.

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat, 41.

—
1896.

16193/63

1974 c

250631
I

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Декабря 1895 года.

6.11.63v

10,-



WARSZAWA. Drukarnia EMILA SKIWSKIEGO.

Lose, fassliche Geberden
Können mich verführen;
Lieber will ich schlechter werden,
Als mich ennuyiren!

Goethe. — Das Publicum.

— Dziń-dziliń! — zabrzmiało w aparacie.

Młody i przystojny blondyn, zajęty właśnie pisaniem, podniósł głowę, nie rad, że mu przerywają pilną robotę. Odłożywszy na bok pióro, pociśnął guzik odpowiedni.

W polu elektro-telefonoskopu, naprzeciwko biurka, przy którym siedział, zarysowała się postać chudej, czterdziestoletniej może blondynki, ubranej pretensjonalnie, lecz bez smaku.

Gruba warstwa szminki, leżąca na zwiedłej twarzy, oczy tuszem podczernione i starannie utrefiona grzywka, wichrząca się nad pomarszczonem czołem, świadczyły, że osobka ta nie chce jeszcze zerwać z dyablem, jakkolwiek poważne latka dzwonią już na Anioł-Pański.

Świadczył to również uśmiech zalotny i płomienne spojrzenie, którem zdawała się pożerać blondyna, przymrużając oczy z parafrasią dystynkcyą.

Blondyn powitał zjawisko owym ukłonem, którym witamy nieznajomych, a który dla wpraw nego oka wyraża znak zapytania.

— Jakt o? nie poznajesz? — zawołała kobieta.

— Nie!... Prawdziwie, nie mogę sobie przypomnieć — odparł młodzian z zakłopotanym uśmiechem.

— Nie poznajesz tej, którą nazywałeś swem drugim „Ja,“ swym dobrym aniołem, swym skarbem, swą duszą?

Blondyn uśmiechnął się ironicznie. Małoż to takich drugich „Ja“ było w jego życiu?

— Istotnie, że jestem w kłopotcie — rzekł ze skruchą.

— Tak? — zawołała z wyrzutem w głosie niewiasta. — Więc nie ja jedna bylam tak szczęśliwą?... A jednak zapewniałeś mnie, żeś przede mną nie kochał nikogo; przysięgałeś, że nikogo kochać nie będziesz!

Młodzian ruszył ramionami niecierpliwie.

— No, ale ostatecznie z kim mam przyjemność? — zapytał.

— Niezabudka!

Wypowiedziała to głosem tak uroczystym, jak gdyby wymawiała czarodziejskie jakieś zaklęcie.

— Niezabudka?... Niezabudka?—mruknął blondyn, grzebiąc w wspomnieniach.—Istotnie, że sobie nie mogę przypomnieć żadną miarą.

Kobieta wpatrywała się w niego spojrzeniem inkwizytora.

— Aaaaa! — zawołał nagle, śmiejąc się wesoło. — Ależ to niepodobna! Wszak to już temu...

I urwał, nie chcąc być niedyskretnym.

— Sto trzydzieści siedem lat! — dokończyła kobieta. — I cóż to znaczy? Odmłodziłeś się cudownie... Wyglądasz tak samo, jak wtedy, kiedy cię poznałam... na trzeciej maskaradzie w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym... pamiętasz?

Młodzian schmurzył czoło. Komplement Niezabudki chybił celu.

Wstawszy rano, kazał był sobie wstrzyknąć poczwórną dawkę skoncentrowanej *Vitaliny* Brown-Séquarda—i czarodziejski płyn ten, który go od lat wielu utrzymywał przy życiu, odmłodził go był istotnie o lat sto trzydzieści siedem. Czując się rzeźkim dwudziestodwuletnim młodzieńcem, byłby rad zapomnieć o tem, że zdrowie swe, czerstwość i siłę

zawdzięcza jedynie temu fortelowi. Trzebaż było, by mu ta niezdolna baba, wywlekając z pyłu zapomnienia pamięć dawno zapomnianych grzeszków, przypomniała jego sto pięćdziesiąt dziewiątą wiosnę!

— Od kogóż się dowiedziałas, że jeszcze żyję? — zapytał niemal szorstko, niedelikatnością jej dotknięty.

— Czytałam wiersz twój w *Kurjerze* — odparła, mizdrząc się zalotnie. — Prześliczny!... Co za ogień! jaka siła!... O, serce twoje nie zmieniło się! Pozostało młodem; widać to!... Jak ty to pięknie powiedziałeś: „W tych razach szukam siostrzanych dusz; — w słodkiej się nurząc tęsknicy, duch szuka swego drugiego „Ja...“ — tego, co chodzi w spódnicy!...“

— Aha! — szepnął blondyn — chce mnie wziąć na ten kawał.

— Więc też, skoro się dowiedziałam, że do swojego drugiego „Ja“ tak tęsknisz, biedaku — ciągnęła zalotnie dalej, — nie zaznałam już spokoju... Powiedziałam sobie: muszę odzyskać mojego „Czarnego Tulipana...“ Dopytywałam się o ciebie wszędzie!... Wreszcie dowiedziałam się w „Międzynarodowym biurze wywiadowczem“, gdzie mieszkasz, kazałam się z tobą telefonem połączyć... i oto jestem!

Blondyn obrzucił ją chłodnem spojrzeniem.

— Terefere kukul! — pomyślał. — Musi mieć teraz sto siedemdziesiąt siedem lat. Gdyby to było wino... umchum! coby to było za wino!

I uśmiechnąwszy się do tej myśli, a jak gdyby łykając w duchu smaczek stosiedemdziesięciosiedmioletniego wina, zapytał słodko:

— Czemże ci służyć mogę, mój aniołku?...

— On mnie pyta, czem mi służyć może! — zawołała patetycznie. — Ależ to ja ci chcę służyć! Pragnę cię pocieszyć, ukoić twoją tęsknotę.

— Dziękuję ci, dziękuję! — odrzekł skwapliwie. — Nie uwierzysz, jak mi to pochlebia, żeś sobie raczyła przypomnieć o mnie. I to po stu trzydziestu siedmiu latach! Aaaa! to istotnie przynosi zaszczyt twojej pamięci!

— O, ja o tobie nie zapomniałam nigdy! Czyż mogłam o tobie zapomnieć?! Kochałam cię, tęskniłam do ciebie zawsze, zawszel! Skromność tylko nie pozwalała mi się zbliżyć!

Ostatnie słowa wymówiła szeptem prawie, spuściwszy oczy w wdzięcznem zakłopotaniu.

— No i cóż zmiękczyło skrupuły tak twarde? — zapytał Czarny Tulipan z szyderczym uśmiechem. — Bo przyznaj, żeś się namy-

ślała dosyć długo. Sto trzydzieści siedem lat... to kawał czasu!

— Mówiłam ci: twój wiersz, twoje wezwanie „Do mojego drugiego Ja“ — odpowiedziała wymijająco. — Czyż mogłam mu się oprzeć? Spragniona twego widoku, odszukałam cię, by ci powiedzieć, że lecę do ciebie na skrzydłach miłości. Podziękuj mi: jutro przyjeżdżam do Warszawy i padnę w twoje objęcia!

— O, nie rób tego! — zawołał, trwogą zdjęty. — Nie chcę cię narażać! Pomyśl, co robisz!.... Taka podróż... w tym wieku!

— W jakim wieku? — spytała opryskliwie.

— No, przecież... przecież w naszym wieku! — jął bełkotać, szukając, czemby uspokoić zagniewaną. — W dwudziestym wieku — dorzucił, uradowany, że mu się udało znaleźć wybieg stosowny, — w wieku balonów, „nietoperzów Adera“ i łyżwowych kolei! Nie, za nic w świecie nie chcę tej ofiary!

— Dla ciebie, jedyny, nie będzie mi zbyt drogą żadna ofiara!

— Ale ja tego nie chcę!

— Ale ja chcę! Zobaczysz, jaki będziesz szczęśliwy! Otoczę cię takim kochaniem, jakiego nigdy nie znał żaden kochanek. Miłość moja jest jako róża stulistna! Żadna słodycz nie dorówna mojej pieszczocie...

— Kochanie! miłość! pieszczoty!...—perswadował łagodnie. — Zmiłuj się, czyż można o takich rzeczach myśleć w tym... to jest w wieku nietoperzów Adera! — dorzucił skwapliwie.—Miłość nasza byłaby jak surdut łatany. Sto trzydzieści siedem lat rozłąki... pomyśl, co to za łąta!

— I cóż to znaczy, skoro jesteśmy znowu tacy, jakimi byliśmy wtedy! — zaszcebiotała pieszczotliwie.

— No, nie całkiem—odparł z ironicznym uśmiechem. — Wtedy... wtedy nie miałem stu pięćdziesięciu dziewięciu lat doświadczenia.

Spojrzała na niego stropiona.

— I cóż stąd? — zapytała.

— To, że dziś czuję, że... że nie jestem ciębie godny i że nie umiałbym odwzajemnić twojej miłości. Dziś mógłbym mieć dla ciębie tylko szacunek.

— Szanuj ty starego dyabła, ale nie mnie! — wrzasnęła rozwścieczona. — Otóż to nagroda za moją miłość, za sto trzydzieści siedem lat wierności! Uhuhu!... O, ja nieszczęśliwa!...

I wybuchnęła nerwowym szlochem.

Czarny Tulipan wzruszył ramionami niecierpliwie.

— Ależ uspokój się, białogłowo namiętna! — jął tłumaczyć łagodnie. — Któż widział być tak gwałtowną w tym wieku... w wieku łyżwowych kolei! — dodał z uśmiechem.

— Nie, ja się na tobie zemszczę, haniebny uwodzicielu!... uhuhu!... Chybaby nie było sprawiedliwości, gdyby cię Bóg nie ukarał za moją krzywdę!... uhuhu!...

— Za twoją krzywdę?... A to wyborne!... No, powiedz-że mi, czego ty właściwie chcesz ode mnie?

— Chcę, żebyś się ze mną ożenił...

— Nie, tego nie zrobię!

— Dlaczego?

— Bo nie mam ochoty! Bo cię znam!... Wszakże mam dotychczas na głowie pamiątkę twego miłego humoru.

Przygryzła usta na to wspomnienie.

— Dlaczegożes mnie wezwał? — zapytała.

— Ja ciebie?

— A twój wiersz „Do mojego drugiego Ja...” Przecież to ja niem jestem, nie kto inny!

— Cha, cha, cha!... to wyborne! — parsknął Czarny Tulipan wesołym śmiechem. — Ona to wzięła do siebie!...

— Wszakże mnie tak nazywałeś przed laty? — rzekła Niezabudka.

— Ba, przed laty!... Przed laty nie miałem stu pięćdziesięciu dziewięciu lat doświadczenia.

— Ohydny zdrajca!... uhuhu!...

— Zmiłuj się, niewiasto gwałtowna, nie dręcz mię, nie udawaj!... Wszakże wtedy, gdy cię poznałem, byłaś już wdową po dwóch mężach!... później, jak słyszałem, wyszłaś za trzeciego... Jakżeby cię mógł nazywać moim drugim „Ja,“ skoro wiem, że trzech innych miało do tego dawniejsze prawa?

— O, szydzi jeszcze, ten łotr bez serca!... uhuhu! — zawołała, łząc go, to łkając naprzemian.—A ja go tak kochałam!... uhuhu!... Nikczemny uwodziciel, potwór ohydny! Jeszcze przed chwilą nazywał mnie swoim aniołkiem!... uhuhu!... Ale czekaj! ja się zemszczę, zobaczysz!... Ja ciebie zapozwę! będę cię ścigała na każdym kroku!... Poznasz, co to znaczy obrazić kobietę, która swoją godność ceni!

To powiedziawszy, uderzyła pięścią w guzik swego aparatu.

Gdyby skutek odpowiedział był zamiarowi, Czarny Tulipan byłby nieochybnie wyleciał w powietrze. Tak jednakże zadzwonił tylko dzwonek w jego aparacie i postać rozindyczonej Niezabudki zgasła w polu telefonskopu, jak zdmuchnięta świeca.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Czarny Tulipan.—Zachciało się Zosi jagódek!... Myślała, że się nie poznam na farbowanych lisach... cha, cha, cha! A jak się to rozwydrzyło, spostrzegłszy, że się nie dam wziąć na malowane policzki, ani też na odgrzewane sentymenty.

Ubawiony tą myślą, rozparł się wygodnie w fotelu i zwrócił oczy ku wpółotwartemu oknu, przez które do jego pokoju zaglądał kawał pogodnego nieba.

Wysoko w górze szybowwały balonowe omnibusy i doróżki, wyjeżdżając, to znów powracając do niedalekiej przystani napowietrznych okrętów. Szybkim pędem śmigały ponad dachami i szczytami drzew „nietoperze Adera,” podobne do roju fruujących jaskółek. Cały przestwór ponadziemny kipiał ruchem i życiem, które tam wniosło ujarzmienie powietrza, dokonane przez dumnych synów XX wieku.

Bezmyślnym wzrokiem wpatrywał się z razu Czarny Tulipan w to wrzenie. Niebawem jednak począł go ku sobie pociągać ten błękit pogodnie uśmiechnięty i to ruchliwe życie, tętniące tam w górze, wysoko!

Przez wpółodchyloną kwaterę przybiegał lekki wietrzyk, owiewając mu skronie ciepłem swem tchnieniem i łaskocząc duszę

przyjemnie. Pod wpływem tych wrażeń zbudził się w nim głód życia i użycia. Widziana przed chwilą postać malowanej Niezabudki rozplynęła się w jakąś mgłę o niepochwytnych rysach, a z tej mgły wychylały się ku niemu lubieżnie białe, pulchne ramiona i wilgotne, koralowe usta, wydymające się do pocałunku.

To było jego drugie „Ja,” o którym właśnie wspominała napastliwa wdówka — owo drugie „Ja” *an sich* — jakby powiedział filozof niemiecki — ta druga duszy jego połowa, której widzenie ścigało go nieustannie, wiecznie myśli jego blizkie, zawsze niepochwytnie w rzeczywistości!

Ileż to razy w długim swem życiu, złudzony pozorem lub też gorącym pragnieniem tęsknoty, sądził, że je odszukał, że je znalazł nareszcie! Ale nie, zawsze pokazywało się, że owa mniemana duszy jego połowa była już przedtem lub stała się potem drugim „Ja” innego, a doznane rozczarowania i zawody potęgowały gorącość jego pożądań.

Teraz wychylało się ono znowu ku niemu z poza mgły nieokreślonych przeczuć, a głos jego szeptał gdzieś tam aż w głębi jego serca: „O, przybądź, luby!... wzywam cię, spragniona twego przybycia!... Rozpoczniesz przy mym

boku nowe życie, pełne niewysłowionej błogości... Niezrównaną rozkoszą upieszczę ból twojej duszy, pocałunkami rozjaśnię twoje czoło, słodyczą cię upoję, pieśczętą zażegnamię pamięć wszelkiej tęsknoty... O, pójdź! o, pójdź!... Patrz, oto czekam na ciebie, jako kwiat, który się nie rozwiniął jeszcze i czeka, by przez ciebie dopiero i dla ciebie jedynie rozkwitnąć.“

Czas jakiś opierał się Czarny Tulipan tej pokusie, nie chcąc przerwać zaczętej pracy. Ale krew jego, odmłodzona poczwórną dawką *Brown-Séquardiny*, wrzała coraz bardziej pod naporem owych czterech dyabłów, których nowożytna psychologia odkryła w uczuciu miłości, a którymi są: ciekawość, próżność, srogość i głód wrażeń. Wreszcie widząc, że czterem aż dyabłom nie zdzierży, umyślił pójść za radą bourgetowskiego profesora Sixte i zwalczyć ich... ulegając.

Schowawszy tedy robotę do biurka, powstał, umył ręce, zaczesał włosy i podkręcił wąsa; poczem oblókłszy białą kamizelkę i granatowy *smoking*, a osadziwszy na tyle głowy miękkie, pilśniowy kapelusik, wyszedł do miasta „elastycznym krokiem blondyna w białej kamizelce.“ (Styl naszych realistycznych powieściopisarek!)

Działo się to w upalny dzień lipcowy roku 1993 i swoim zwyczajem uciekła była Warszawa z Warszawy, pozostawiając tylko wonne Nalewki wraz z najbardziej zadłużonemi przyległościami na opuszczonem gospodarstwie.

Pusto więc było—o ile pusto może być w dwumilionowem mieście,—a duszno tak samo, jak i dziś; — pomimo stuletniego postępu bowiem i licznych w tym kierunku dokonanych prób, nie zdołano dotychczas jeszcze poprawić miejscowego klimatu tak dalece, by go uczynić znośnym w czasie letniej spieki.

Jużto, prawdę powiedziawszy, coraz mniej się dawała uczuwać potrzeba takiego ulepszenia.

Głęboko, na samem dnie uregulowanej Wisły wznosiły się olbrzymie kryształowe pałace, mieszczące w wnętrzu swoim, oprócz kilku wspaniałych teatrów, kilkanaście restauracyi i cukierni, urządzonych z wielkim komfortem i przepychem.

Ponad Warszawą, w obłokach—na wysokości, którą dowolnie można było uczynić równą Meranowi, Zakopanemu lub Davosowi—bujały rozkoszne Marceliny i Sielanki. Balonowe omnibusy i doróżki dowoziły żądnych rozrywki Warszawiaków do tych schronisk uroczych.

Muzyka fonograficzna grała tu i tam, i można było czy to pod wodą—w królestwie jesiotrów i sandaczy, czy też w górnych warstwach powietrza—w dziedzinie orłów i jaskółek, rzeźwić się chłodem, używając przytem wszelkich płynnych i gęstych, tak pieczonych jak i smażonych rozkoszy.

Wszystko to było dostępnem każdemu — rozumie się każdemu, kto miał pieniądze. Ci, którzy mieli w kieszeniach płótno tylko, nie wchodzili w XX wieku, tak samo jak i dziś, w rachunek...

Czarny Tulipan nie należał do rzędu tych biedaków, których wyłącznie płócienna zawartość ich kieszeni bezlitośnie wyrzuca poza nawias wszelkiej ziemskiej uciechy. Owszem—skuzynowawszy się niedawno temu za pośrednictwem weksłu z potomkami biblijnych patriarchów, posiadał jeszcze około pięćdziesięciu rubli kapitału. Suma to wprawdzie niewielka, ale dzięki Brown-Séquardinie miał nasz bohater w tej chwili lat dwadzieścia dwa. W tym wieku pięćdziesiąt rubli—to skarb nieprzebrany, to klucz do wszelkich rozkoszy. Chodzi tylko o to, z którego końca ma się zacząć używać tego pięknego żywota, który się do nas tak wdzięcznie uśmiecha pełnią uciechy.

Ulice Warszawy przedstawiały w roku 1993 widok niepodobny wcale do tego, który przedstawiają dzisiaj. Dawno już zjedzono wszystkie konie, służące pod wierzch lub do zaprzęgu, zastąpiwszy je elektrycznością, jako motorem tańszym i silniejszym, a wolnym od wszelkiego narowu.

Nawet jasnokościsty pegaz dzisiejszych poetów poszedł już był w odstawkę;—wszyscy bowiem wieszcz i wszystkie wieszczki, szanujący godność własną, udawali się na Parnas umyślnie w tym celu sporządzonymi elektropegazami, które nad szkapo-ptakami, używanymi za naszych dni, posiadały tę niezaprzeczalną wyższość, iż nie ulegały wykopcyeniu i były wolne od zół i nosacizny.

Bohater nasz nie skorzystał z przewozowych środków, jakimi rozporządzał wiek XX. Czerstwość i siła, jakie w nim były, domagały się wyzwolenia. Rozmarzony widzeniem swego drugiego „Ja,“ zasłuchany w głos jego, który mu jeszcze tętnił w uchu, kroczył asfaltem jak senny, pełen rozkosznych jakichś przecuć, a duch jego, uskrzydlony pragnieniem słodkich upojeń, wyciągał pożądliwie ramiona ku tej jedynej, od dawna przeczutej, dotychczas jeszcze niespotkanej, a będącej uzupełnieniem jego istoty.

Idąc, spoglądał ciekawie na twarzyczki kobiet, które spotykał, żali pomiędzy nimi nie ujrzy wymarzonej kochanki. Kiedyniekiedy przyśpieszał kroku, goniąc z bijącym sercem za jakimś jasnym lub ciemnym kapelusikiem, za jakąś zręczną figurką, która go chwilowo pociągnęła ku sobie. Niestety, żadna z tych, które spotykał, nie odpowiadała jego ideałowi, czemu się dziwić nie wypada, gdyż—jak wiadomo—łączył on z młodością stopięćdziesiąt-dziewięćioletnie doświadczenie.

Utrudzony bezowocną pogonią i nieznośnym skwarem, schronił się wreszcie do cukierni Loursa na Krakowskim-Przedmieściu. Usiadł na werendzie przy stoliku, do którego krawędzi przytwierdzony był przyrząd, zaopatrzony w długi szereg błyszczących metalowych guziczków. To był elektro-telefotoskop, łączący cukiernię Loursa z całym światem.

Za pomocą tego cudownego przyrządu, wydłużającego pole widzenia w nieskończoność, można było zapuszczać wzrok w najodleglejsze strefy ziemskiego globu, lubując się kolejno widokiem podzwrotnikowych palm i podbiegunowych lodów. Pociśnąwszy guzik odpowiedni, widziałeś, jak na dłoni, obraz tego, co się w danej chwili dzieje tu lub tam—to zaś tak wyraźnie, jak gdyby cię czarnoksięska siła przeniosła na ono miejsce, które pragnąłeś zobaczyć.

Czarny Tulipan znał przyrząd ten dokładnie. Kazawszy więc sobie podać mazagranu dla ochłody, wrzucił dziesięć groszy do aparatu. Duża tafla matowego szkła wysunęła się z zagłębienia, znajdującego się poza stolikiem, i zasłoniła mu widok brudnych kamienic, stojących naprzeciwko.

Chwilę jakąś wahał się, nie wiedząc, jaki obraz wywołać: czy zobaczyć Hajotę, wstępującą na stromy wierzchołek Pic-Clarence; czy Sienkiewicza, polującego w Afryce na hipopotamy; czy наконец panią Lucyne Ćwierczakiewiczową, zrywającą szarotki na tatrzańskiej połoninie?

Wreszcie, jak to zwykle bywa, gdy człowiek zbyt wiele ma do wyboru i, sam z sobą w rozterce, powziąć nie może postanowienia, uległ postronnemu impulsowi i pocisnął niemal bezwiednie guzik, pod napisem „Paryż“ umieszczony. W mgnieniu oka zarysowało się na matowej szybie widmo bulwaru, napelnionego zgiełkliwym ruchem.

Tak, to był istotnie Paryż!

Naprzeciwko, na drugiej stronie szerokiej ulicy, widniał dobrze mu znany fronton kościoła św. Magdaleny.

Chódniki po prawej i po lewej stronie roily się różnobarwnym tłumem. Środkiem

bulwaru płynęły dwoma rzędami elektryczne doróżki, powozy i omnibusy. Zręczni jeźdźcy przesuwali się pomiędzy nimi, pędząc na welocypedach, poruszających się również za pomocą elektrycznego przyrządu.

Roztargnionem okiem przypatrywał się Czarny Tulipan niespokojnemu wrzeniu tego ludzkiego mrowiska, nie znajdując w tem, na co patrzył, żadnej podniety do wrażeń, których łaknęła jego dusza. Zniechęcony, zamierzał już odstąpić od elektro-telefotokopu, gdy wtem zwrócił jego uwagę wspaniałe zaprzęg *à la Daumont*, posuwający się zwolna po bulwarze.

Pojawienie się tego zaprzęgu byłoby niewątpliwie i w roku 1893 zrobiło niepospolite wrażenie; pod koniec XX wieku, i gdy elektryczność powszechnie zastąpiła była żywy materiał pociągowy, był widok jego wprost już osobliwością. Wyglądało to mniej więcej tak, jak gdyby ktoś za naszych dni wyjechał na spacer w hełmie i kolczudze, wioząc na łąku jakąś Meluzynę lub Goplanę. Musiał być dyabło bogatym i dyabło narwanym ten, kto sobie w roku 1993 pozwalał tak dziwackiego wybryku!

Lekką, szafirowym atłasem wybitą *Victorię* ciągnęły cztery rosłe, skarogniade angliki, których każdą parę prowadził „z konia“ dzokiej

w ciemno-szafirowej aksamitnej dzókiejce, takimże szpencerku, białej koronkowej krawacie, białej peruce, łosiowych spodniach i butach ze sztylpami. Z tyłu, w koźle za powozem, siedziało dwóch sążnistych Murzynów, w ciemno-szafirowych aksamitnych *à la Louis XIV* kubrakach, białej koronkowej krawacie, białych perukach, trójgraniastych z piórami i galonem kapeluszach, białych jedwabnych pończochach i trzewikach ze srebrnymi klamrami.

Trudno było wyobrazić sobie coś wytworniejszego w tym rodzaju — coś bardziej *select*, jakby powiedział bulwarowiec pod koniec XIX wieku. Było to cacko, jakiego serdecznie życzę każdej z moich czytelniczek. Powóz o gumowych kołach i niklowych szprychach robił wrażenie wykwintnego pieścidełka. Konie były starannie dobrane, a najwidoczniej pielęgnowane z umiejętną troskliwością. Murzyni, równi wzrostem, siedzieli z założonemi na piersiach rękoma, strzelając białkami oczu tylko — poza tem niewzruszeni, pełni uroczystej powagi. Dżokieje, młodzi, przystojni, a podobni do siebie jak dwie krople wody, sprawowali urząd swój z namaszczeniem, unosząc się rytmicznie na swych miniaturowych siodelkach. Czarny Tulipan przypatrywał się z upodobaniem temu niezwykłemu widowisku.

Ale stokroć bardziej niż przepych i wykwint tego zaprzęgu zachwycił go widok młodej kobity, która w towarzystwie starszej, lecz dobrze zakonserwowanej jechała tym powozem. Chmurą batystu i koronek owiana, leżała na poduszkach swojego rydwanu, zasłaniając się od słońca parasolką z pawich piór, na której szczycie widniała główka pawia, z dużemi jak grochy, brylantowemi oczyma.

Płonęły w słońcu precudne Rio-brylanty, rzucając migotliwe blaski; mieniły się w jego promieniach metalicznie barwy, jaśniejące na rozpostartym pawim ogonie, — ale stokroć żywiej płonęły koralowe usta młodej kobiety, rozchylając się w wdzięcznym półuśmiechu, — ale tysiąckroć jaśniej gorzały jej ogromne, czarne oczy, spoglądające na świat owym wyrazem zdziwienia, który jest właściwy oczom Kreolek, a czyni ich spojrzenie podobnem do spojrzenia ułaskawionej sarenki.

Miało bo też w sobie to zjawisko, promieniejące urokiem młodości, urody i szczęścia, istotnie coś ze słońca, gdy chmury przedziera i mgły rozprasza, złocąc świat cały swoimi łagodnymi uśmiechy. Czar, który od niej szedł, wnikał przez oczy w duszę patrzącego, niby błękit pogodnego nieba, niby pieszczotliwe tchnienie wiosenne, co rozwesela, krzepi i od-

mładza. Krótko mówiąc, wdzięk jej byłby mógł umarłego w grobie poruszyć—cóż dopiero człowieka, którego krew wrzała wulkanicznym ogniem młodości, rozżarzonym poczwórną dawką skoncentrowanej *Vitaliny!*

Za dawnych, dobrych czasów, gdy jeszcze wymagano od pisarzów, by tworzyli jeno takie obrazy, któreby czytelnik mógł snadnie odtworzyć w swojej wyobraźni,— za czasów, gdy do malowania uczuć prostych dobierano jak najprostszych wyrazów, byłoby wystarczyło najzupełniej, gdybym tu powiedział. „Na widok jej rozradowała się jego dusza!”

Ale dziś, w tej dobie symbolizmu, i gdy już w literaturze mamy „wlokące się zapachy,” „ślizgające się blaski,” ba nawet i „ciszę, od której aż w uchu dzwoni,” nie uchodzi już tak naiwny sposób malowania. Duch czasu bowiem domaga się od powieściopisarzy z jednej strony „subtylizacyi wrażeń,” z drugiej zaś, by czytelnikom pokazywali nie tylko wierzch, ale i spód każdego uczucia, czyniąc tak, jak czynią owe dzieci, które brzuch rozcinają „lalusi,” by zobaczyć, co się tam mieści.

Nawiasem mówiąc, jest to sposób najwłaściwszy i najskuteczniejszy, gdy chodzi o zepsucie „lalusi.” Ponieważ jednak moda tak chce, przeto starajmy się drogą „subtelnej

analizy“ dociec, jak wyglądał w tej chwili wierzch i spód uczuć Czarnego Tulipana. Jeżeli by analiza szwankowała, to pokryjemy „królewską purpurą stylu“ widoczniejsze braki. Od czegoż bowiem jest „królewska purpura stylu“, jeżeli nie od tego, by służyła za całun... dla umarłych myśli?

Owóż więc na widok nieznajomej doznał Czarny Tulipan takiego wrażenia, jak gdyby prąd jakiś potężny, bijący od uroczej (dla popisania się erudycyą, powiedzmy: prąd w rodzaju alternujących prądów Tesli!), porwał go i, przepoiwszy światłem, ciepłem, wonią i pieśnią, uniósł hen, gdzieś daleko ponad ziemię, w jakiś raj niewysłowionej błogości. Zdawało mu się, że pod wpływem tego czaru rozplywa się w blaskach, dźwiękach i uśmiechach. Wszystkie uciechy, jakich w długim swem życiu doświadczył, wszystkie sny o szczęściu, które prześnił, a którym nigdy nie dorównała rzeczywistość, przesunęły się w jednej chwili jako miara porównawcza przed oczyma jego duszy; wszystkie jednak bladły i mierzchły wobec słodkiego upojenia, w jakie go czar nieznajomej ukołysał.

Mógłbym snuć tę „subtelną analizę“ w nieskończoność, boć przecie oczywiste jest, że każde nowe wrażenie mierzymy przez poró-

wnanie miarą, poczerpniętą z wrażeń już doświadczonych, a tych musiał Czarny Tulipan zebrać niemało w swem stopięćdziesięciodziesięcioletniem życiu. Wolę jednak powiedzieć od razu, iż żadne z tych uczuć, które tu przedstawiłem rozszczerpione, tak jak promień słoneczny, gdy go pryzmat na tęczę rozłamie, nie dochodziły do pełnej świadomości w jego umyśle; wszystkie one bowiem spływały się—jak w jednym akordzie — w uczuciu rozkosznego oszołomienia!

Więc też ukochał ją tem upojeniem i tęsknotą całego życia i potęgą owego młodzieńczego ognia, jaki we krwi jego rozpałała *Vitalina*. Serce jego powiedziało mu od razu, że to jest właśnie owo drugie „Ja,” będące uzupełnieniem jego istoty, a bez którego, pomimo czarodziejskiego eliksiru Brown-Séquarda, nie byłby już teraz mógł żyć na świecie.

Nagle wyrwał się okrzyk przerażenia z jego ust.

Komisjoner, pędzący na elektrycznym bicyklu, wpadł był na konie, idące przodem. Spłoszone rumaki rzuciły się w bok, pociągając za sobą powóz na tor, po którym toczył się olbrzymi omnibus elektryczny. Zdawało się, iż nieszczęście jest nieuniknionem i że ciężki rydwan, nadjeżdżający w szybkim pedzie,

zmiażdżyć musi komisyonera, konie i *Victorię*, wraz z tymi, którzy się znajdują w jej wnętrzu.

Zjęty zgrozą, wpatrywał się Czarny Tulipan w matową szybę elektro-telefotokopu szeroko rozwartemi oczyma. Strach i rozpacz ścisnęły mugardło lodowatą dłonią, nie pozwalając pierśmiom zaczerpnąć oddechu. Biedak, nie wiedział o tem, czego się z pewnością domyślają czytelnicy, że, ze względu na niniejszą humorystyczną fantazyę, katastrofa, grożąca zagładą, nie może bezwarunkowo nastąpić w tej chwili i że tu w grę wejść musi jakiś *deus ex machina*, który piękną nieznajomą ocali, a tem samem dostarczy autorowi wątku do dalszej powieści.

Jakoż istotnie tuż o dwa kroki przed końmi, dębiącymi się w dzikim popłochu, zarył się elektro-wóz wszystkiemi czterema kołami w ziemię, zatrzymany przez jakiegoś młodego i przystojnego blondyna w granatowym *smokingu*, białej kamizelce i zawadyacko na tyle głowy osadzonym miękkim, pilśniowym kapeluszu. Młodzieniec ten, wskoczywszy na kozioł pędzącego rydwanu i odtrąciwszy niedołężnego maszynistę, użył w sam czas hamulca, by omnibus na miejscu osadzić i piękną nieznajomą ochronić od nieuniknionej zguby.

Załatwiwszy się w ten sposób z elektro-wozem, zeskoczył rzeźki blondyn lekko na ziemię, podbiegł ku wylękłemu komisynerowi, podniósł go i postawił na nogach; poczem ujął lejce rzucających się jeszcze koni i zaprowadził je na tor właściwy.

Wszystko to dokonaniem było w mgnieniu oka, z odwagą, przytomnością umysłu, siłą i zręcznością, które wywołały podziw Czarne-go Tulipana. Ale bardziej jeszcze zdziwiło go to, iż zbawca ów niespodziewany był z wyglądu, ruchów i ubrania nawet tak do niego podobnym, iż mu się zdawało, że widzi chyba własną postać, w zwierciadle odbitą.

Bohater nasz sądził z razu, że go zmysły mamia, ukazując mu spełnienie tego, co było najgorętszem jego pragnieniem. Ale nie—nie sposób było przeczyć oczywistości! Zatrzymany przez blondyna elektro-wóz ruszył znowu po chwili z miejsca i popędził w świat, tocząc się po opróżnionym torze. Komisyner, który szczęściem nie doznał cięższego szwanku, a z którym młoda nieznajoma zamieniła słów kilka, wypytując go o coś z widocznem zajęciem, odjechał również w stronę, gdzie go wołał obowiązek. Wreszcie oddalił się i powóz uroczej, mierzchnąc powoli w zamglonej

perspektywie bulwaru, poczem znikł z oczu, utonawszy w zgiełku ulicznego mrowiska.

Wszystko to widział Czarny Tulipan w polu elektro-telefotokopu tak dokładnie, iż zdołał nawet odczytać numer na czapce komisyjona. Widział, jak się dzielny blondyn zwinie krzątał, dziełem ratunku zajęty; widział twarz jego, postać i ruchy, które tak zadziwiająco, w każdym szczególe, odzwierciadlały niejako własną jego osobę; widział uśmiech, ukłon i spojrzenie, które swojemu zbawcy przesłała młoda nieznajoma, i widział wreszcie — o dziwo! — jak sobowtór jego zgasił mu w oczach z całą niesamowitością, właściwą duchom „w miękkim, pilśniowym kapeluszu i białej kamizelce...” Nie, to było zadziwiającem! To przerastało nawet Pic-Clarencej i wszystkie afrykańskie śliczności!... Zaprawdę, można było oszaleć, patrząc na te niepojęte dziwy!...

Bohater nasz nie oszalał jednakże!... Ochroniła go miłość, która jest *M Buana Kuba* (wielki pan—jak Sienkiewicza nazywali Somaliso-wie), a która opanowawszy głowę i serce Czarnego Tulipana, broniła teraz przystępu do swojego państwa wszelkim niezależnym od niej uczuciom. W umyśle jego nie mógł zmrok zagościć; radość osłoneczniała go jasnym swym

uśmiechem. Uszczęśliwiony świadomością, że jego drugie „Ja“ uniknęło klęski, uśmiechał się całą duszą do tej myśli, że je znalazł nareszcie, i nie wątpił wcale, że uczucie, które na odległość kilkuset mil w sercu jego zbudziła piękna nieznajoma, najniezawodniej wpłynąć musi na jego dalsze losy.

Po chwili jednak przyszło mu na myśl, że go od niej dzieli przestrzeń—zapora, nieistniejąca wprawdzie już w XX wieku dla bogatych, lecz wchodząca tutaj ze względów finansowej natury rozstrzygająco w rachunek. Czarny Tulipan posiadał tylko, jak wiadomo, pięćdziesiąt rubli kapitału; trudno było puszczać się w podróż i konkury z takim zasobem.

Będąc literatem z zawodu, a więc, jak ktoś powiedział, „poniekąd już ekonomiczną siłą“, mógł on wprawdzie kupić w loteryjnym kantorze jedną lub nawet dwie ćwierci losu, a osiągnąwszy w grudniu główną wygranę, puścić się w pogoń za swoim drugim „Ja“ z flotą celowi temu odpowiednią. Ale na to potrzeba było czasu—a któż mu zaręczy za to, czy jego drugie „Ja“ nie jest przyjezdnem tylko i czy wkrótce już może Paryża nie opuści?

O kogóż będzie pytał wtedy: o córkę amerykańskiego nababa, o królowną Madagaskaru, czy też o żonę indyjskiego maharadży?—

bo i ta możliwość nie była wykluczoną, że jego drugie „Ja“ jest już „cudzym przykute pierścieniem.“ Do kogo ma się zwrócić wówczas z zapytaniem, co się stało z właścicielką zaprzęgu *à la Daumont*, która w miesiącu lipcu, dnia tego a tego, przejeżdżała bulwarem św. Magdaleny? Kto po upływie sześciu miesięcy będzie mu umiał nato odpowiedzieć w tym Paryżu, który żyje tylko dniem dzisiejszym, o ile dziś jeszcze nie zjada swego jutra, aby z niem później już nie mieć kłopotu?

W głowie kipiało mu, jak gdyby w garnku. Czem się to działo, że istota, będąca niejako powtórzeniem jego własnej osoby, mogła go wyręczyć w Paryżu, jawiąc się w sam czas na bulwarze św. Magdaleny, by dokonać ocalenia, którego on, siedząc w cukierni Loursa na Krakowskim-Przedmieściu, nie mógłby sam dokonać żadną miarą? Kto był ów tajemniczy zbawca, który z odwagą i zręcznością „blondyna w białej kamizelce“ ochronił piękną nieznajomą od niechybnej zguby? Był-żli możliwem, by się znalazł ktoś drugi, tak do Czarnego Tulipana podobny z twarzy, postaci, ruchów i ubrania? Jak sobie wytłómaczyć nagłe zniknięcie tego tajemniczego zbawcy, który rozwiął się był niejako w przestrzeni, zgasłszy tak, jak postać we śnie widziana, skoro sen

uleci?... Bohater nasz suszył sobie głowę, nie mogąc znaleźć rozwiązania tych zagadek.

Długo siedział Czarny Tulipan, wpatrując się w szybę elektro-telefotokopu i grzebiąc w myślach, które go obsiadły. Wreszcie zbudził go z zadumy mężczyzna średniego wzrostu, o pięknej blond brodzie i przenikliwym spojrzeniu.

— Jak się masz, stary?—rzekł nieznajomy, kładąc zatopionemu w myślach rękę na ramieniu.

Czarny Tulipan przetarł dłonią oczy, jak człowiek, co się ze snu budzi.

— Ach, to ty! Julku!—zawołał, poznawszy w nieznajomym doktora Juliana Ochorowicza.—Dobrze, że cię widzę!... Muszę cię o coś zapytać.

— Słucham cię — odparł psycholog uprzejmie.

I przysunąwszy sobie krzeselko, usiadł przy tymże stoliczku.

— Powiedz mi, proszę ciebie — zapytał nasz bohater,—czy możliwem jest, by ktoś będący w Warszawie mógł równocześnie zjawić się w Paryżu i dokonać tam czynu, który [najoczywiściej wymaga fizycznego wysiłku?

Uczony spojrzał na niego zdziwionem okiem.

— Jak to rozumiesz?—zapytał.

— No, tak—odrzekł Czarny Tulipan.— Czy może ktoś, siedząc tutaj, u Loursa, przed elektro-telefotoskopem, zobaczyć siebie samego na bulwarze św. Magdaleny w Paryżu?

— Może — zaśmiał się doktor Ochrowicz.— Jeśli się nazywa Chochlik-Zagórski, to może!... Wszak czytałeś, co pisze *Kraj* o podwójnej naturze tego jegomości... Chochlik więc „pustacko uśmiechnięty“ może się przecha-
dzać po paryskim asfalcie, a Zagórski „filozoficznie zadumany” patrzeć na to z warszawskiego bruku — dodał żartobliwie.

— Nie żartuj! — odparł Czarny Tulipan.— Mnie głowa pęka, a ty żartujesz!

I pochwyciwszy towarzysza swego za rękę, jął mu opowiadać zdarzenie, które go tak wzruszyło.

— I cóż ty na to?—zawolał, skończywszy swą opowieść.

— Przywidzenie!... Halucynacya wzrokowa!—rzekł psycholog, kładąc mu rękę na pulsie.— Musiałeś być rozdrażniony.

— Ależ nie, bynajmniej!... Widziałem to wszystko, jak na dłoni... Zresztą, patrz!—dodał, pokazując mu szybę elektro-telefotokopu, w którego polu zarysował się znowu zaprząg

à la Daumont, nadjeżdżający z powrotem w tę stronę.

Chwilę jakąś milczeli, przypatrując się temu dziwnemu widowisku. Oparta na poduszkach swego rydwanu, wodziła piękna nieznajoma ciekawem okiem dokoła, jak gdyby, kogoś szukała wpośród tłumu przechodniów, podążających ulicą. Wreszcie zniknął zaprząg i powóz w bulwarowym zgiełku. Doktor Ochorowicz pierwszy przerwał milczenie.

— Więc powiadasz, że ten, który ją ocalił, był do ciebie podobny?—zapytał.

— Jak dwie krople wody

— W tym razie musisz mieć jakiegoś sobowtóra w Paryżu... Zdarza się to czasami.

— Czyż to możliwe?... Pomyśl; był nawet tak samo ubrany: granatowy *smoking* i biała kamizelka.

— Przypadek.

— No, ale jakże sobie wytłómaczyć tajemnicę jego zniknięcia?

— Musiałeś nie uważać. Prawdopodobnie nie spostrzegłeś, jak się schował w tłumie.

— Ależ nie, owszem!... Patrzałem na niego z uporem!... Możesz sobie wyobrazić, jak dalece mnie to zaciekawilo ujrzeć siebie samego na paryskim bulwarze... Otóż widziałem wyraźnie: przed chwilą był, a potem go

uż nie było... Powiadam ci, znikł mi w oczach, jak płomień nagle zdmuchniętej świecy.

Uczony wzruszył ramionami z uśmiechem.

— Są rzeczy na ziemi i niebie, o których się nie śniło filozofom—odparł, popadając w zadumę.

— Przytem—ciągnął nasz bohater dalej—miałem takie wrażenie, jak gdybym to ja sam dokonał tego ocalenia... jak gdyby to mnie ona podziękowała spojrzeniem i uśmiechem... Ach, powiedz mi, proszę ciebie, czy to możliwe? czy nauka nie umiałaby wytłómaczyć takiego zdarzenia?

— Nauka nie! — odpowiedział zagadnięty—jakkolwiek „Londyńskie Towarzystwo dla poszukiwań psychicznych“ zajmuje się takimi fenomenami. Wynaleźli nawet nazwę dla objawów tego rodzaju i zowią je telepatycznymi zjawiskami. Tutaj należą właśnie szczególne sny, osobliwsze widzenia i wypadki nie dające się wytłómaczyć. Miesięcznik, wydawany przez rzeczne Towarzystwo pod redakcją angielskiego psychologa, doktora Myersa, gromadzi takie fakty, w nadziei, iż mogą kiedyś posłużyć specjalnym badaczom. Wszystko to jednak rzeczy należycie dotychczas nie zbadane i niepodobna na tej podstawie oprzeć żadnej teorii.

— Przecież muszą to jakoś tłumaczyć, skoro o tem piszą?—zawołał Czarny Tulipan skwapliwie.

— Nie, oni tego wcale nie tłumaczą; notują tylko fakty, nic więcej! Tłumaczenia ich, a specjalnie wytłumaczenia twojego wypadku, musiałbyś chyba szukać w buddaistyczne teozofii.

— W buddaistycznej teozofii?

— Tak jest, w buddaistycznej teozofii, lub też w tajemnicach Różokrzyżowców, gdyż Różokrzyżowcy przyjęli od indyjskich Mahatmów wierzenie, iż człowiek posiada oprócz *Kama Rupy*, czyli fizycznego ciała, *Lingę Szaryrę*, to jest drugie ciało, wedle Różokrzyżowców „ciało astralne,” zazwyczaj z pierwszym złączone, które jednak w danych warunkach odłączyć się może od fizycznego ciała i przybrać kształt widomy, a do Kama Rupy zupełnie podobny.

— Rozumiem!—szepnął młodzieniec, słowami temi rozmarzony.

— Rozumiesz?—zaśmiał się doktor Ochrowicz—no, to ci winszuję... bo co do mnie, to ci się przyznam otwarcie, że tego nie rozumiem. Cokolwiekbądź, zdarzać się miały podobne fakty. W *Anhellim* znajduje się właśnie opis takiego zjawiska.

— W *Anhellim*?

— Tak! Przypominasz sobie ten obraz, gdy Szaman usypia Anhellego, a z uśpionego wychodzi postać młodzieńca...

— Która wolnym krokiem podąża ku zachodowi—przerwał Czarny Tulipan.

— Właśnie, właśnie—odparł psycholog.— Otóż to jest oddzielenie się Lingi Szaryry od fizycznego ciała. Słowacki, który, nawiasem mówiąc, bardzo wiele czytał, musiał wiedzieć coś o wierzeniach Mahatmów lub Różokrzyżowców i to mu prawdopodobnie myśl tę nasunęło. Ale wracając do rzeczy, owa Linga Szaryra ma, wedle Mahatmów, tłumaczyć pojawianie się duchów, ba, nawet osób żyjących a oddalonych, jak o tem czytać możesz w wspomnianym już miesięczniku, który niejednako takie opowiada zdarzenie. O tem jednakże, by ktoś zobaczył własną Lingę Szaryrę, nie zdarzyło mi się słyszeć nigdy jeszcze.

— Otóż ja o tem nie wątpię, że ja widział dzisiaj!—zawołał nasz bohater — że to właśnie ja ocaliłem piękną nieznajomą i że widziałem wtedy samego siebie.

— W tym razie jesteś bezwiednym Szamanem... kto wie, może Mahatmą, Nizmanakają nawet—zauważył szyderczo uczony.

— Nizmanakaja?... Co to znaczy?

— To najwyższy stopień doskonałości człowieczej. To człowiek, który się dobrowol-

nie wyrzekł Nirwany, ażeby służyć ludzkości na ziemi. To duch, który rozkazuje Risim i Dewom, zarówno złym jak i dobrym duchom; to jaźń wszystkowiedząca i pełna uniwersalnej świadomości.

— Nie drwij, proszę ciebie—przerwał mu Czarny Tulipan.—Gdybym był tak wszechwiedzącym, tobym przedewszystkiem wiedział, kim jest ta cudna kobieta, której ocalilem życie.

— Nic łatwiejszego przecie, jak zdobycie tej wiadomości — odparł z uśmiechem doktor Ochorowicz.

Bohater nasz spojrział na niego szeroko rozwartemi oczyma.

— Jakto? — zapytał.

— Wszakże zapamiętałeś numer komisyonera, któregoś z pod koni wyciągnął?

— Pięćset dwanaście!

— A więc pójdź do „Międzynarodowego biura wywiadowczego“ i każ w Paryżu zapytać, jak się nazywa właścicielka koni, które dnia dzisiejszego na bulwarze św. Magdaleny najechały na komisyonera numer pięćset dwanaście... Dziś jeszcze, najdalej jutro, nadeszlą ci odpowiedź.

— Ach, prawda! nie pomyślałem o tem!—zawołał Czarny Tulipan. — Dziękuję ci, mój drogi, dziękuję!

I rzuciwszy garsonowi zapłatę za maza-gran wypity, pożegnał swego towarzysza.

— A pamiętajże mi donieść o wyniku twoich zabiegów! — rzekł doktor Ochorowicz, odwzajemniając uścisk jego ręki.

Poczem wyjąwszy z kieszeni notesik i przewróciwszy kilka kartek, nakreślił ołówkiem co następuje:

Czarny Tulipan. — Ciekawe zjawisko oddziaływania woli na Lingę Szaryrę. — Do sprawdzenia!

Szybko się załatwił nasz bohater w „Międzynarodowem biurze wywiadowczem,“ gdzie mu obiecano dostarczyć żądanych wyjaśnień. Kazano mu złożyć odpowiednią takse i podać adres, pod którym jak najdokładniejsze wiadomości o właścicielce wspaniałego zaprzęgu *à la Daumont* w przeciągu dwudziestu czterech godzin przesłane mu będą. Uspokoiwszy się w ten sposób, pełen słodkich rojeń i nadziei, umyślił Czarny Tulipan skrócić sobie czas oczekiwania, kosztując rozrywek, jakie pod ten czas nastroczała Warszawa.

Rozrywek było co niemiara, a wszystkie M'Buana Kuba!

Dnia tego właśnie urządzali „nasi lotni“ (tak nazywali warszawscy reporterowie „Klub latawców,“ uprawiający sport napowietrzny) nietoperzanie Adera wycieczkę na Łysą górę.

Kilka weteranek literackich, zawdzięczających *Vitalinie* swą nieśmiertelność, miało „lotnym“ towarzyszyć na elektro-pegazach i uskrzydlo-nych łopatach, niosąc górą sztandar Niebieskiej Pończoszki. Młodsze damy, nie umiejące dosiadać nietoperzy, a nie należące do pisarskiego cechu, miały wziąć udział w wycieczce klubowymi balonami, które na miejsce przeznaczenia zawiozą kapelę Lewandowskiego, kilku lirycznych tenorów, zaleconych przez autorkę *Trzystu sześćdziesięciu pięciu obiadów*, i bufet, zaopatrzony w rozmaite napitki i smakołyki.

Świetnie zapowiadała się wieczornica, z którą, w myśl wniosku pana Leopolda Méyeta zamierzano połączyć owacyę dla autorki *Eli Makowera*, *Meira Ezofowicza* i *Pompalińskich*. Pewna weteranka literacka, ciesząca się wspa-niałą tuszą, miała dla uczczenia dostojnej pi-sarki odtańczyć menueta do spółki z pewnym dziennikarskim krytykiem, chudym jak komar żonaty. Była to dowcipnie pomyślana allego-rya, stwierdzająca tryumf emancypacyjnych dążeń kobiecych, których gość szanowny był tak wymownym apostołem i obrońcą. Oprócz tego miano całą Łysą górę oświecić elektryczne-mi słońcami, powrót zaś „latawców i latawie“ rozwidnić sztuczną zorzą północną, umyślnie

w tym celu przez profesorów Milicera i Boguskiego sporządzoną.

Bohater nasz nie dał się jednak skusić temu obiecującemu programowi. Powstrzymał go od tego wstręt, jaki czuł do unieśmiertelnionej *Vitaliną* literatury, uprawianej od lat przeszło stu pod wezwaniem trojga nowych muz: nudy, szablonu i histeryi.

Wstręt do tej szopki dawał się Czarnemu Tulipanowi mocniej jeszcze odczuwać w tem podnieceniu ducha, w jakim się znajdował obecnie. W tej chwili czuł on się młodym, rzeźkim i bohaterem! Duch jego zrywał się do lotu, tak jak młody żrebiec z rozwianą grzywą, gdy go z ciepłej stajni o chłodnym świetle wypuszczą. Mózg jego kipiał niby czarka szampańskiego wina, wyrzucając z siebie perełki słodkich jakichś, radosnych upojen. W głowie układały mu się poematy, całe z ognia, całe z fantazyi i ze śmiechu — rozbrykane aż do utraty tchu, tak jak faun pijany, szalejący w orszaku rozhasanych korybantów. Nie, zaiste! nie było dla niego miejsca w tem zebraniu.

Przytem dawał mu się głód już we znaki. Silne wrażenia, jakich doznał w ciągu dnia, zaostrzyły były jego apetyt młodzieńczy. Wsiadł więc do wagonu w pneumatycznej

tubie, której wylot znajdował się na Saskim Placu, i kazał się zawieźć do jednej z pierwszorzędných restauracyi, mieszczących się pod wodą, w kryształowym pałacu, zbudowanym na dnie uregulowanej już nareszcie Wisły.

Nic pysniejszego nad urządzenie tego przybytku! Łagodne światło elektryczne systemu Tesli nappełniało go wesołym brzaskiem. Kryształowe ściany i sklepienie rozłamywały jego promienie na wstęgi, jaśniejące siedmiobarwieniem tęczy. Wpóśród egzotycznych krzewów i kwiatów, nappełniających powietrze przedziwną wonią, widniały marmurowe posągi mistrzowskiego dłuta. Można było wedle upodobania ucztować w wielkiej, wspólnej sali, lub też w oddzielnych gabinetach, gdzie służbę sprawowały automatyczne syreny, stąpające dyskretnie po kwiecistych perskich kobiercach.

Usługa ta była *par excellence* warszawskim wynalazkiem i miała przedewszystkiem tę zaletę, że dostarczając biesiadnikom wszelkiej godziwej przyjemności, zabezpieczała należycie ich moralność. Flirt z automatyczną syreną nie zagrażał małżeńskiemu szczęściu wtedy nawet, gdy się go dopuszczał słomiany wdowiec. Ten i ów mógł, poglądając w czarne lub niebieskie oczy rybo-dziewicy, z czystem sumie-

niem śnić platoniczny sen rozkwitającej róży; do pokłucia się realnymi kolcami nie było w tym wypadku żadnej sposobności!—Jednem słowem był to wynalazek, zabezpieczający spokój rodzinny. Szkoda tylko, że u wód i na letnich mieszkaniach, gdzie przebywały słomiane wdówki, nie było podobnego urządzenia...

Miała nadto usługa automatycznych syren dla prawowiernych synów praszczura Noego tę dogodność, iż każdy z nich, zamknąwszy się w gabinecie, mógł pić do woli, nie narażając się na niedyskretne spojrzenia garsonów, drwiących potajemnie z rozchoconego gościa. Żaden szyderski uśmiech nie zakwaśił ci tutaj szklanki szumiącego „pilznera;“ żadne głupkowato-frantowate odezwanie się nie psuło ci humoru, nie upokarzało twojej dumy, nie budziło w sposób brutalny drzemających w piersi swej skrupułów. Usłużna rybo-dziewica wykonywała każde z twych zleceń z równą uprzejmością i jednakim pośpiechem.

Czarny Tulipan wszedł do jednego z tych gabinetów. Modrooka syrena, o bujnych, płowych kędziorach i ustkach jakby dwie wiśnie, powitała go uprzejmem skinieniem głowy i uśmiechem. Potem, gdy usiadł przy stoliku, oparła z poufałością rękę na poręczu jego

fotelu, i patrząc mu zalotnie w oczy, wyśpiewała dzwiecznym głosem jadłospis, na nutę umyślnie w tym celu przez Noskowskiego ułożonej romanicy.

Bohater nasz znał przyrząd ten i wiedział, że, celem wykonania jakiegoś zlecenia, należy skutecznie odpowiednią transpozycję fonograficznych skrawków, ukrytych wewnątrz automatu, w podobny sposób, jak się to dzieje w katarynkach. Więc też ująwszy białą rączkę lalusi, ścisnął ją w swej dłoni mocniej, ilekroć wymieniała nazwę potrawy, którą się zamierzał uraczyć. To była właśnie droga, na której się można było porozumieć z automatyczną rybo-dziewicą. Chcąc zamówić jakiś napitek, trzeba ją było w brodę uszczypnąć.

W mgnieniu oka skuteczniła syrena otrzymane zlecenia, i Czarny Tulipan, któremu głód doskwierał, zabrał się z apetytem do spożycia darów bożych. Będąc wykwinnym smakoszem, wybrał potrawy porze roku odpowiednie, a więc: pieczone kurczęta, raki i szparagi. Zakropiwszy to wszystko buteleczką *Clos de Vougeot*, kazał jeszcze sobie podać talerz potziomek, podlanych szampanem. Poczem zapła ciwszy rachunek i pocałowawszy rybo-dziewicę (w taki sposób objawiali synowie XX wieku swe zadowolenie z obsługi), poszedł na

czarną kawę, koniaczek i cygaro do przyległej cukierni.

Wstąpił do pierwszej sali, gdzie kinetograf Edisona przedstawiał trzeci akt *Romea i Julii* Gounoda z Reszkem i Melbą w tytułowych rolach. Złudzenie było zupełnem. Ukryty fonograf śpiewał sopranem i tenorem znany duet skowronkowy, oddając głos artystów z niezrównaną czystością, podczas gdy zootrop w polu czarnoksięskiej latarni uwydatniał z najdoskonalszą wiernością postać ich, ruchy i mimikę.

Widowisko to, bez wątpienia nader ciekawe, nie zachwyciło go wcale. Wszystkie restauracje i cukiernie posiadały już w owym czasie podobne aparaty i raczyły co chwila gości mniejszemi lub większemi dawkami podobnej artystycznej biesiady. Nawet w prywatnych domach trudno się było rozminąć z teatralnem przedstawieniem—każdy bowiem, kto posiadał potrzebną ku temu ilość kursującej w kraju monety, zaopatrywał się w teatr własny, wraz z Rossim, Sarą Bernhardt, Modrzejewską, Patti, braćmi Reszke, Kochańską i t. d., zamkniętymi w kinetografie dla domowego użytku.

Nie zatrzymawszy się więc, poszedł do drugiej sali. Tutaj opowiadał fonograficzny

Kurier Warszawski historię dnia. Zaciekawiony, usiadł na ławeczce, kazał sobie podać czarnej kawy z koniakiem i jął słuchać.

Przyszedł był w połowie opowiadania, po artykule wstępnym, kronice i wypadkach. Fonograf wygłaszał właśnie erotyczny wierszyk jakiś Czesława, w deklamacyi panny Czaki. Potem przyszły bańki dowcipnego „mydlarza,“ a następnie telegramy w redakcyi uroczystego „Br. Z.,“ wypowiedziane przez pana Kotarbińskiego, z odpowiednim przedmiotowi nastrojem.

To, co tu usłyszał, sprawiło mu bardzo przyjemne wrażenie. Z telegramów dowiedział się, że świat stoi niezmiennie na tem samem miejscu; „bańki mydlane“ przekonały go, że dowcip warszawski staje się coraz młodszym, w miarę tego, jak się starzeje, — erotyk zaś Czesława ujawnił mu, że miłość ciągle trwa — z grzywką na czole, „z buzią w ciup,“ zafryzowana, upudrowana, woniejąca Opoponaxem, wiewająca wachlarzem, skora do figielków, uśmiechnięta!...

Przeświadczenie to uradowało go wielce. Przyszło mu na myśl, że wiekuisty zastój świata, dowcip warszawski i miłość upudrowany muszą chyba, tak jak on sam, zawdzięczać *Vitalinie* swą nieśmiertelność, a krzepki wygląd

tych trojga upewnił go, że i on sam, przy pomocy tego cudownego środka, dożyje lat matuzalowych — kto wie nawet, może się z czasem tak dalece odmłodzi, iż młodością dorówna „milusińskim“ kronikarzom *Tygodnika Ilustrowanego*.

Tymczasem śpiewał fonograf dalej, zalecając „pokoje z samowarem,“ „tanie obiady przy rodzinie“ i „panny do ubierania.“ Rozmaici kupcy wysławiali towar swój z wielkim zapalem; „młode i intelligentne osoby“ wynurzały z odpowiednim niezwykle położeniu zakłopotaniem zamiar przyjęcia posady w jakiejś administracji; w sile wieku będący „kawalerowie i wdowcy“ oświadczały gotowość swą do żeniaczki, pod warunkiem, że znajdą pannę z posagiem, odpowiadającym ich gorącemu afektowi. Wreszcie przyszła kolej na „prywatną korespondencję“ i z wnętrza fonografu ozwał się głos rozkochanej Niezabudki.

Czarny Tulipan zadrżał, usłyszawszy swe nazwisko. Natrętna wdówka opowiadała mu swą miłość i tęsknotę.

— Tego już za wiele! — ryknął oburzony.

I rzuciwszy garsonowi zapłatę, wybiegł z sali śpiesznym krokiem „blondyna w naciśniętym na oczy pilśniowym kapeluszu!“

Gdyby Czarny Tulipan zastanowił się był nieco nad tem, co zaszło w ciągu tego dnia, byłby niewątpliwie przyszedł do przeświadczenia, że „prywatna korespondencya“ Niezabudki była dawniej już wysłaną, nim jeszcze afektom napastliwej wdówki dał odprawę. Ale mózg jego kipiał gorączkowo pod wpływem doznanych później rozlicznych wrażeń i nie było w nim miejsca na chłodną rozagę. Więc też, rozwścieczony natręctwem rozkochanej Medei, opuścił restauracyę, wsiadł do wagonu, umieszczonego w pneumatycznej tubie, i kazawszy się zawieźć na ląd stały, jał wpośród przybytków ciekłej rozkoszy szukać miejsca, gdzieby mógł swobodnie marzyć o swej miłości.

Jednakże, gdziekolwiek się udał, biegła za nim „prywatna korespondencya“ sentymentalnej wdówki, nieustannie powtarzana przez fonograficzne dzienniki. Wszędzie ich pełno było, we wszystkich restauracyach i cukierniach, czy to na lądzie, czy pod wodą, czy wreszcie w górnych warstwach powietrza. Gruchania Niezabudki biegły za nim, ścigając go, niby brzęk natrętnej muchy; niepodobna było mu się przed nimi uchronić!

Piła ta oburzała go i zawstydziała zarazem. Elegijne kwilenia wdowy psuły mu

harmonię wzniosłego dytyrambu, który grzmiał w jego piersi. O ile go podnosił i uszlachetniał ideał miłości, opromieniający jego duszę od chwili, gdy piękną nieznajomą zobaczył, o tyle go przygnębiały i we własnych oczach poniżały wspomnienia niezbyt wybrednego romansu, jakie w umyśle jego budziły nagabywania gwałtownej Niezabudki. Zdawało mu się, że ta przeszłość nieco mętna wcale do niego nie należy i że powrotna jej fala, nachodząca go teraz, po latach tylu, z natarczywością upominającego się o dług swój lichwiarza, płami go i upośledza. Miał takie uczucie, jak gdyby go śmiesznym czyniły roszczenia, jakie do niego, marzącego o pięknej nieznajomej, podnosiła stosiedemdziesięcioletnia Niezabudka, wmawiając w niego, iż to ona jest właśnie jego drugim „Ja,” do którego duch jego wyciąga ramiona. Więc też, ilekroć z wnętrza fonografu ozwał się głos jego prześladowczyni, zrywał się, jak ptak spłoszony, i uchodził przed jej napaścią, nie wątpiąc o tem, iż się wszyscy na tem miejscu obecni domyślają, że to o niego chodzi, i że go wszyscy szyderczem przeszywają spojrzeniem.

Roznerwowany powrócił do domu wieczorem i zamknął się w swoim pokoju. Samotność uspokoiła wkrótce jego rozdrażnienie; niesmak,

jaki mu przedtem sprawiało doznawane nabywanie, ustąpił, dając ruminnym, przyjemniejszym uczuciom. Jednakże duszno mu było wśród tych czterech ścian, gdzie przyszedł szukać schronienia. Rozmarzała go myśl o pięknej nieznajomej i niecierpliwiło oczekiwanie wiadomości, które miały odsłonić tajemnicę, jaka go otaczała. Zdawało mu się, iż piersiom jego zabraknie oddechu—otworzył więc okno, by odetchnąć świeżym powietrzem i starym zakochanych obyczajem księżycowi i gwiazdom wypowiadać się ze swej tęsknoty.

Nie było jednak gwiazd, ni księżyc na niebie—były tam jeno inseraty!

Silne elektryczne wstrząśnienia, wywołane przez profesorów Milicera i Boguskiego przy sporządzaniu sztucznej zorzy północnej, która „latawcom i latawicom“ rozjaśniała powrót z Łysej góry, spowodowały były zgęszczenia pary wodnej, unoszącej się w powietrzu. Widnokrąg zasłoniły gęste chmury, na których widniały rozliczne ogłoszenia. „Międzynarodowe Towarzystwo reklamy“ bowiem używało w XX wieku nieba jako olbrzymiej tablicy, na której za pomocą silnych reflektorów umieszczało rozmaite anonse.

Czarny Tulipan był już od dawna oswojony z tym dla nas niezwykłym widokiem; mimo

to zajął on go w tej chwili. Niebo wyglądało jak ostatnia stronica dziennika, zadrukowana reklamami przeróżnego towaru. Ognistemi głoskami jaśniały tam ogłoszenia *Wiosłarki* Patschkego i Troschla, *Papierosów Noblesse* Przepiórkowskiego, tudzież rozmaitych literackich *Nowości*, a wśród nich anons *Exsiccatora* i *Gudronitu*, pałające jeden czerwonemi, a drugi żółtymi głoskami.

Bohater nasz przypatrywał się tej apoteozie różnorodnego towaru, nie mogąc pojąć, czem to się dzieje, iż chmury, które przecież są wilgocią, nie wysychają pod ogłoszeniami *Exsiccatora* i *Gudronitu*. Przyszło mu nawet na myśl, że je wilgocią chyba zasilać musi panosząca się na niebie literatura i że obydwą wilgoć tępiące środki zbyt słabe są, by odwodnąć płody reklamowanych autorów i autorek. Ubawiony tem, iż mu się udało znaleźć rozwiązanie tej ciekawej zagadki, „kurczem mięśni twarzowych wykonał akt uśmiechu“ (styl warszawskich pozytywistyczno-naturalistyczno-tendencyjno-dydaktycznych powieściopisarzy).

I rzeczywiście panowała w XX wieku wilgoć ogromna w dziedzinie płodów narodowego ducha; od tych łez heraklitowych, wylewanych nad dolą synów ziemi, nad tem, że człowiek bezbronny jest wobec głodu i zimna, wobec

wilka, co wyje, wobec cegły, co z dachu spada, i wobec wierzyciela, co fantuje i grabi, domagając się zapłaty nieuiszczonego długu. Wesołe muzy zamieniły się były w płaczki i cały Parnas rozbrzmiewał „jękliwe kwileniem.“ Arka przymierza między dawnymi a młodem laty stała się była wielkiem akwaryum, w którym, jak złote rybki, pluskali się autorowie i autorki, doznający uznania krytyki, uprawianej przez snobbów i angielskie — z niebieską wstążką—gitary.

Wszelakoż, mimo tych urządzeń, „popularyzujących“ umysłowe płody — rosła, rosła makulatura w nieskończoność, zapelniając szopy reklamowanymi drukami, których nikt nie chciał kupować. Pomawiano publiczność o skąpstwo, o wstręt do umysłowej rozrywki, o brak patryotyzmu i t. d. W istocie jednak trudno jej było z tego robić zarzut poważny, iż się nie chciała dać zanudzać i że, niejednokrotnie sparzona, utraciła wiarę w szczerść krytyki!...

Nagle błysnęło w chmurze, na której rozpościerało się ogłoszenie Exsiccatora; ognisty grom wystrzelił z jej łona, godząc w sam środek anonsu Gudronitu. Gudronit oczywiście nie pozostał dłużnym swojemu wrogowi i odstrzelił mu się siarczystym piorunem, którego

odgłos stokrotne powtórzyły echa; Exsiccator odpowiedział mu na to nowym strzałem.

Chwilę jakąś przypatrywał się Czarny Tulipan tej polemice, przeniesionej teraz w górne sfery; wreszcie widząc, że się nie tak prędko skończą te zapasy, jał oglądać inne ogłoszenia, rozmieszczone na niebie. Oddech mu zamarł w piersiach, gdy zwrócił oczy ku zenitowi. Na samym szczycie nieba, wysoko ponad jego głową, widniała odezwa Niezabudki „do Czarnego Tulipana:“

Wypiszę to na zenicie,
Że ciebie kocham nad życie!

Zrozpaczony zamknął skwapliwie okno, zapuścił storę i poszedł na spoczynek.

Długo nie mógł zasnąć, miotany najsprzeczniejszemi uczuciami. Radość, jaką go napępiała myśl, iż po stopięćdziesięciosiedmiu-letniem szukaniu odnalazł nareszcie swe drugie „Ja,“ zatruwało mu przeświadczenie, iż sentymentalna Niezabudka ścigać go będzie swoją natrętną miłością, która tak długie zdołała przetrwać lata. Ilekroć obraz pięknej nieznanjomej stanął przed jego oczyma, jawiła się malowana wdówka i zasłaniała swoją postacią urocze widzenie. W uszach mu brzmiały rozkochane gruchania namiętnej, które mu tyle

razy fonograf w ciągu tego dnia powtórzył, niecierpliwiąc go i wprawiając w nerwowe rozdrażnienie. Pełen gniewu i niepokoju, przeklinał grzeszki swej młodości, przeczuwając, iż, jakkolwiek od dawna już zapomniane, staną się po latach stu trzydziestu siedmiu źródłem ciężkiego dlań zmartwienia.

Z głębokiego snu, który mu dopiero nad ranem skleił powieki, zbudziło go około południa głośnie pukanie. Był to posłaniec, przynoszący mu z „Biura wywiadowczego“ list, zawierający zasiągnięte w Paryżu informacje. Uradowany, odprawił posłańca, dawszy mu rubla na piwo; poczem zamknąwszy się znowu, zaczął czytać.

Wiadomości były bardzo szczegółowe. Dowiedział się, że właścicielką powozu, który poprzedniego dnia na bulwarze św. Magdaleny najechał komisyонера numer pięćset dwanaście, jest bogata Brazylianka, nazwiskiem Maryna Grzędzianka, mieszkająca razem z swą prawnuczką w własnym pałacu przy Avenue d'Auteuil N. 12. Nazwisko to wydało mu się znanem.

— Maryna Grzędzianka?... Maryna Grzędzianka? — zawołał, grzebiąc w swych wspomnieniach. — Dziwne dla Brazylianki nazwisko!... Zdaje mi się jednak, że je skądciś znam... Ach! tak, przypominam sobie: to bohaterka

z powieści pana Adolfa Dygasińskiego!... Tak, z pewnością!... No, no! ktoby się spodziewał, że ją ujrzę w powozie tak wspaniałym? Musiała się majątku dorobić w Brazylii!... A zatem prawnuczka jej, panna Dolores, jest polską kreolką!... Polska kreolka... istotnie, rzecz niesłychana!... Dolores, Dolores!... Co za śliczne imię!... No, i ta panna Dolores jest Polką; istotnie, że to rzecz szczególna! Powiniennem to był jednak odgadnąć po sympatyj, jaką czułem, że w żyłach mojego drugiego „Ja“ krew polska płyniela... Co za szczęście, co za szczęście, że nas do siebie zbliża ta okoliczność!

Po tym monologu powstał i zaczął się skwapliwie ubierać.

Rzeźki, czerstwy, młody, przystąpił potem do telefonu i kazał się połączyć z panią Maryną Grzędzianką, Paryż, Avenue d'Auteuil N. 12.

Telefony w XX wieku uległy były wydoskonaleniu tak dalece, iż za ich pośrednictwem można się było porozumiewać z całym światem, nie tylko słysząc, lecz i widząc dokładnie osobę, z którą się rozmawiało. Nie były to już niedołączne aparaty dzisiejsze, których przyrząd akustyczny musimy trzymać przy uchu, jeśli chcemy pochwycić dolatujące nas, za ledwie słyszane dźwięki,—lecz olbrzymie, z elektro-tele-

fotoskopami połączone mikrofony, znoszące niejako przestrzeń między tymi, co za ich pośrednictwem ze sobą toczyli rozmowę, bez względu na to, czy ich od siebie dzieliły setki mil, czy tysiące. Słowem były to niby spotęgowane oczy i uszy, przenikające wszelkie zapory, a widzące i słyszające wszystko, co się działo w obrębie umieszczonego na stacyi odbiorczej aparatu. Oczyma i uszami temi darzył rozmawiających elektro-telefotoskop, czyli po prostu telops, jak go dla skrócenia w potocznej mowie nazywano.

Więc też, skoro dzwonek oznajmił, iż połączenie zostało uskutecznione, i bohater nasz pocisnął guzik odpowiedni, zarysowało się na szybie telopsu widmo wykwintnego buduaru, przypominającego swem urządzeniem czasy Ludwika XV i pani de Pompadour. Nie było tu owej kociej muzyki klóćącego się ze sobą rupiecia, która jest wyrazem właściwego naszym czasom estetycznego komedyanctwa; nie było tego przeładowania rozlicznymi, ze wszystkich części świata pościąganyymi gratami i gracikami, które wykwintny buduar naszej doby czyni podobnym do tandety.

Od kapryśnie zaokrąglonych linii stylowych mebli aż do jedwabnego połysku i wesołej barwy jasnego obicia, od amoret z na-

piętymi łukami, czyhających w każdym zakątku, i od marmurowych nimf, wyzierających z poza zieleni krzewów, rosnących w przepysznych majolikowych wazonach, aż do gobelinów i malowideł, przedstawiających pasterskie i mitologiczne sceny, dostrajało się tu wszystko do jednolitej nuty jakiegoś rozkochanego sybarytyzmu, którego rażąca może w innym wypadku lubieżność rozgrzeszało jednak artystyczne piękno, cechujące każdy ze znajdujących się tu przedmiotów.

Na tem tle ujrzał Czarny Tulipan — ach! nie swoje drugie „Ja,“ ale upudrowanego, średnich lat mężczyznę, w czarnym fraku, czarnych jedwabnych, po kolana sięgających pończochach i lakierowanych, trzewikach ze złotemi klamrami, który mu się przedstawił jako marszałek dworu i sekretarz Jej Ekscellencyi.

To, co tu ujrzał i usłyszał, zbiło nieco z tropu naszego bohatera. Maryna Grzędzianka ekscellencyą — ktoby się tego spodziewał! Czarny Tulipan wiedział, że im państwo świeższe i bardziej przypadkowe, tem też większą i duma,—więc mu serce ścisnęła myśl, jak trudno będzie mu się przedostać przez te progi i połączyć z tą, która jest drugą jego duszy połową. Mimo to postanowił nie dać po sobie poznać zdziwienia, ni obawy.

— Chciałbym się widzieć z sennoritą Dolores — rzekł rezolutnie, nadrabiając fantazyą.

Marszałek popatrzał na niego badawczo, widocznie zdziwiony tem żądaniem i tonem, jakim było wypowiedziane. Potem obrzucił przelotnem spojrzeniem skromne urządzenie kawalerskiego mieszkanka naszego bohatera. Snać nie zaimponował mu doraźny przegląd ten, bo lekki, ironiczny uśmiech przeleciał po jego twarzy.

— I kogóż będę miał zaszczyt oznajmić margrabiance?—zapytał.

Czarny Tulipan wymienił swe nazwisko.

— A czy nie mógłbym wiedzieć, gdzie pan w tej chwili przebywa?—rzekł znowu marszałek tonem zapytania.

— W Warszawie—odparł młodzieniec.

— Zdaje mi się, że Jej Ekscellencya pani moja nie ma znajomych w tem mieście.

— Rzeczywiście, nie nam zaszczytu znać Jej Ekscellencyi, ani też jej prawnuczki, ale chciałbym je poznać, a szczególnie chciałbym poznać sennoritę Dolores.

— To będzie nieco trudnem—rzekł z ironicznym uśmiechem marszałek, — zwłaszcza na tej drodze, którą pan obrałeś.

— Dlaczego?—spytał Czarny Tulipan.

— Bo to się nie zgadza z obyczajami, obowiązującymi w tym domu. Ani Jej Ekscellencya, ani margrabianka, nie rozmawiają przez telops z ludźmi, których nie znają.

— Ależ ja im wczoraj ocaliłem życie!... Proszę pannie margrabiance powiedzieć, że ten, który jej życie ocalił, przyszedł zasięgnąć wiadomości o jej zdrowiu.

Marszałek spojrzał na niego szeroko rozwartemi oczyma.

— Jakto?... pan moim paniom ocalił życie? — spytał zdziwiony. — Wszak mówiłeś, że w tej chwili przebywałeś w Warszawie!... Czyż pan byłeś wczoraj wieczorem w Paryżu? — dorzucił uprzejmie.

Łatwe to do przewidzenia zapytanie wprowadziło w kłopot naszego bohatera. Czuł, że mu się grunt z pod nóg usuwa, i że, jeżeli prawdę powie, będzie się musiał pożegnać z nadzieją widzenia swej bogdanki. Nie chcąc jednakże uciekać się do kłamstwa wobec człowieka, będącego jej sługą, rzekł tonem głębokiego przekonania:

— Byłem!... ale tylko duchem!

— Duchem tylko?—zawołał marszałek.— I to duchem dokonałeś pan tego ocalenia?

— Tak jest, duchem!

— Waryat, stanowczo waryat! — pomyślał tamten. — Ciekawa jednak rzecz, skąd się dowiedział o wczorajszej przygodzie moich pań i o ich nazwisku?

I „wykonawszy kurczem mięśni twarzowych akt uśmiechu,“ rzekł z dyplomatyczną przebiegłością „upudrowanego mężczyzny w czarnych jedwabnych pończochach i lakierowanych trzewikach ze złotymi klamrami:“

— Istotnie, że to rzecz nadzwyczajna!... Racz-że mi pan łaskawie powiedzieć, jak się to stało, bym mógł pannie margrabiance zdać relację.

Czarny Tulipan jął mu opowiadać, jako siedząc w warszawskiej cukierni, ujrzał w polu elektro-telefotokopu to, co się działo na paryskim bulwarze,—jak widząc zbliżającą się, nieuniknioną katastrofę, zamierał prawie, zjęty grozą, litością i rozpaczą,—jak wreszcie pod wpływem tych uczuć, wstrząsających całem jego jestestwem, oddzieliła się jego Linga Szaryra od fizycznego ciała, i przybrawszy kształt widomy, a podążwszy do Paryża, przybyła tam w sam czas, by dokonać dzieła ratunku.

— Tak, tak! — przytwierdził mu dobrodusznie marszałek—to rzecz istotnie zadziwiająca, jakkolwiek niewątpliwa i oczywista. Nie

do uwierzenia, a jednak prawdziwe... jak mówią reklamy. Ubolewam też wielce, że mi regulamin służbowy nie pozwala wezwać margrabianki do telopsu, wyobrażam sobie bowiem, jakby się uradowała, ujrzawszy swego zbawcę... No, ale skoro pan posiadasz władzę przerzucania się w jednej chwili na miejsce, gdzie być pragniesz — dodał z szyderczym uśmiechem, — to niema dla pana nic łatwiejszego nad przybycie do Paryża. Przerzucić się pan tu do nas, Avenue d'Auteuil N. 12, a ja wtedy nieomieszkać pana przedstawić Jej Ekscellencyi i pannie margrabiance.

To powiedziawszy, pożegnał ceremonialnym ukłonem naszego bohatera, i pocisnąwszy guzik swego aparatu, znikł z pola elektrotelefotoskopu tak, jak w umyśle wietrznicy znika pamięć dawnego kochanka, skoro w głoowie jej nowy kaprys zagości.

— Szelma Francuz! Objechał mnie! — fuknął Czarny Tulipan, nie mogąc powstrzymać żalu, jaki serce jego ogarnął pod wpływem doznanego zawodu. — Oczywista rzecz, iż w ten sposób celu mego nigdy nie osiągnę; fagas ten nie dopuści mnie do niej... Mogłem to zresztą przewidzieć, że tak będzie!... Trzeba więc szukać innej drogi... ale jakiej?... Ha, no, trzeba pojechać do Paryża!... Lecz jakże tu

myśleć, jak tu myśleć o takiej podróży, skoro się nie ma potrzebnych na to funduszków — dodał, załamując dłonie. — O, mój aniele! o, moje słonko kochane! drugie „Ja!“ kiedyż cię zobaczę?...

I susząc sobie głowę, skądby tu dostać monety, począł wielkimi krokami chodzić po pokoju. Nie mogąc jednak znaleźć żadnego fortelu, któryby mu zdobyć tę umożliwił, a nie chcąc dłużej pozostawać sam na sam z trapiącemi go myślami, wyszedł do miasta.

Smutny, rozgoryczony, bezradny, uczuł potrzebę ludzkiego towarzystwa. Zdawało mu się, że mu sprawi ulgę widok znajomej twarzy, że zwierzywszy komuś swoje uczucia, zrzuci z siebie brzemień uciskającej go troski. Przypomniawszy więc sobie, iż przyrzekł doktorowi Ochorowiczowi, że mu doniesie o wyniku zasięgniętych w Paryżu informacji co do właściwiek zaprzęgu *à la Daumont*, którym życie ocalił, pośpieszył na znajdujące się nad Wisłą bulwary, gdzie się w przepysznym pałacu mieściła filia „Międzynarodowego Stowarzyszenia magnetycznych połączeń“, pozostająca pod naczelnem kierownictwem naszego psychologa.

— Rzeczywiście, że to rzecz przykra! — rzekł doktor Ochorowicz, wysłuchawszy zwierzeń Czarnego Tulipana. — Nie potrzebuję cię zape-

wniać, iż współczuję twej doli. No, ale trzeba coś robić; trzeba coś na to poradzić!

— Cóż pocznę nieszczęśliwy?! — jęknął nasz bohater.

— W każdym razie nie powinienes się poddawać rozpacz! Zjawisko, którego na sobie doświadczyłeś, jest bardzo ciekawe; należy je zbadać dokładnie. Byłoby grzechem przeciw nauce, gdybyśmy zaniechali dalszych dochodzeń.

Młodzieniec spojrzał na niego z zapytaniem w oku.

— Wiesz, co? — ciągnął dalej uczony — nie mogę cię przenieść do Paryża, ani też sprowadzić pięknej kreolki do Warszawy, ale w każdym razie, i jeżeli panna Dolores należy do naszego związku, mogę cię z nią wprowadzić w magnetyczny stosunek.

— Jakąż stąd korzyść odniosę?

— Bardzo wielką! Naprzód poznasz jej duszę lepiej, aniżeli byś ją poznał, gdybyś w towarzystwie pięknej kreolki żył sto lat. Wniknąwszy za pośrednictwem magnetycznego stosunku we wszystkie tajniki jej uczuć i myśli, przekonasz się niebawem, żali panna Dolores jest istotnie owem drugim „Ja,” którego szukasz...

— O tem nie wątpię wcale!—przerwał mu Czarny Tulipan z zapalem.

— Tak to się zawsze mówi, gdy się jest zakochanym—odparł uczony.—Później dopiero przychodzi rozczarowanie!... Otóż przed tem rozczarowaniem można się łatwo ustrzedz za pośrednictwem „Biura magnetycznych połączeń.“ Wierzaj mi, od czasu, jak istnieje ten zakład, przestało już małżeństwo być ciuciu-babką i loteryą. Każdy wie z góry, co bierze, i na miliony stadeł, które się skojrzały dopiero po uprzednim wejściu w magnetyczny związek, niema ani jednego, któreby się czuło nieszczęśliwem.

— To, co mi powiadasz, jest tak zachęcającem, że, jakkolwiek nie wątpię, iż Dolores jest istotnie ową drugą duszy mej połową, której dotychczas szukałem daremnie, nie waham się prosić cię, byś mnie zechciał z nią wprowadzić w magnetyczne połączenie.

— Bardzo słusznie!—odparł doktor Ochrowicz.—Musimy jednak wpierw dowiedzieć się, czy panna Dolores należy do naszego związku.

I przywoławszy urzędnika, polecił mu, by telegraficznie zasięgnął w „Centralnem paryskim biurze“ odnośnych wiadomości.

Ażeby mnie nie pomówiono o wprost już niedorzeczne bajanie, muszę tu z konieczności

powiedzieć kilka słów o magnetyzmie i tak zwanem poddawaniu myśli, czyli sugestyi. Chodzi mi bowiem o to, by wytłómaczyć łaskawym czytelnikom, na czem się opierała ta świetna instytucja, którą w r. 1993 zarządzał doktor Ochorowicz, a która, jak już wiemy, oddawała synom XX w., zamierzającym wstąpić w stan małżeński, usługi tak cenne i znakomite.

Nie potrzebuje, zda mi się, tutaj wyklądać teoryi myślowego poddawania na odległość. Już pod koniec XIX wieku wiedziała każda pensyonarka, że myśleniu towarzyszy pewien objaw dynamiczny, pewien w mózgu się odbywający ruch drobinkowy, który się wcale nie ogranicza na ognisko, ani też na ustrój, gdzie wziął początek, lecz promieniuje na zewnątrz i płynie tak, jak wogóle każdy inny ruch, na falach eteru w nieskończoność. Prąd ten, natrafiwszy na mózg pokrewnie nastrojony, wznieci tam, na zasadzie prawa transmisji, podobny ruch drobinkowy; ten zaś, drgając w mózgu, odtworzy w nim, zgodnie z prawem powrotnego przeobrażenia, tę samą myśl, która towarzyszyła jego poczęciu.

Wędrowki te, transmisye, indukcyje, powrotne przemiany i odtworzenia nie leżą wcale w dziedzinie niebieskich migdałów i naukowej operetki, lecz są wynikiem ogólnego, przyrodą

rzządzającego prawa. Tak samo fala dźwiękowa, wytworzona drganiem strun danego muzycznego narzędzia, wzbudzi w odpowiednio dostrojonem drugim muzycznym narzędziu drganie pokrewnych strun i dźwięk pokrewny; tak samo obciążony głosem prąd elektryczny, biegnący po telefonicznym drucie, wznieci w drugim telefonie pokrewne drgania i głosy, skoro w sąsiedztwie telefonicznego drutu, po którym biegną głosem obciążone prądy, znajdzie się drut podobny, mogący przez indukcję prądy te pochwycić; tak samo wreszcie odtworzy fotofon Bella na stacyi odbiorczej rozmowę, na stacyi nadawczej prowadzoną, jakkolwiek przewodnikiem głosu będzie tu jeno snop promieni, przez zwierciadło, pod wpływem fal głosowych drgające, na płytę selenium odbity.

Wszystko to są rzeczy dziś już powszechnie znane i nie potrzebujące bliższych wyjaśnień; nic więc dziwnego, że synowie XX w., odziedziczywszy po swych praojcach znajomość tych praw, a wydoskonaliwszy bardziej metodę ich stosowania, umyślili łączyć z sobą nieznane sobie nawet a na dwóch odległych od siebie miejscach znajdujące się osoby za pomocą magnetycznych połączeń i umożliwić im w ten sposób wzajemne poznawanie ożywających je uczuć i myśli.

Działo się to oczywiście za sprawą odpowiednio dostrojonych a w związku ze sobą będących pośredników. Urzędnik na stacyi nadawczej wczytywał się w duszę danej osoby, a wrażenie, jakie, wczytując się, odnosił, odczuwał w dowolnej odległości drugi pośredniczący urzędnik, w mózgu zaś tego ostatniego odczytywał je interesant, na stacyi odbiorczej będący. Wszystko to działo się za pośrednictwem magnetycznego współczucia. Rozumie się, że, celem uniknięcia nadużyć, dopuszczano do związku tylko osoby, zgłaszające się „w poważnych zamiarach”—*pour le bon motif*—jak mówią Francuzi—i że każdy, przystępując do takiego badania interesujących go tajemnic, musiał się słowem honoru zobowiązać do zachowania dyskrecyi.

Owóż więc w dwadzieścia minut niespełna po wysłuchaniu odnośnego zapytania nadeszła z Paryża wiadomość, że margrabianka Dolores di San Hablo de los Rigolos Farseros de la Grande Blaga (takie po ojcu swym odziedziczyła tytuły piękna kreolka) należy istotnie do stowarzyszenia. Bohater nasz złożył przysięgę, iż nie zdradzi tajemnic, jakieby odkrył, wczytując się w duszę pięknej dziewczyny, poczem usiadłszy w fotelu, poddał się operacyi. Jedna z urzędniczek biura, znana,

jako *medium* o sile trzech tysięcy mesmerów (mesmerem nazywano jednostkę siły magnetycznej, potrzebnej, by uśpić czujność zazdrośnego kochanka), przystąpiła do niego z wdzięcznym uśmiechem i za pomocą znanych już dziś pociągnięć wprowadziła go niebawem w stan magnetycznego uśpienia.

— Wrażenia, jakich doznawał, były nader przyjemne. Zdawało mu się, iż prąd jakiś potężny wnika w ustrój jego, porywa go i unosi w jakąś nieskończoność różowego świtu, w jakieś bezmiary, liliową napełnione wonią. Błogo mu było, a tak lekko, jak gdyby precz z siebie zrzucił ciała brzemię. Pogrążony w dziwnym stanie pół-snu a pół-jawy, nie zdawał sobie sprawy z czasu, ni z miejsca, ni z tego upojenia, w jakim się znajdował. Czuł tylko, że go wir jakiś niesie i zbliża ku nowemu, dziwnemu, nigdy dotychczas nie odczutemu szczęściu. Wreszcie znalazł się duchem w pokoju tej, która była jego drugim „Ja“ i uzupełnieniem jego istoty.

Leżała, *belle d'indolence*—jak powiada Wiktor Hugo — zwyczajem kreolek, w hamaku, rozpiętym między dwiema olbrzymiemi palmami. Egzotyczne krzewy i kwiaty, przypominające jej strony ojczyste, napełniały przybytek ten upajającą wonią. Czarne jej, wielkie

oczy, zamglone tęsknotą, poglądały w dal, w jakąś błogą nieskończoność, do której zdawały się uśmiechać jej koralowe usta, odsłaniając drobne, równe i białe ząbki. Na twarzy o klasycznych, dziwnie harmonijnych rysach malował się wyraz głębokiej zadumy. Białe liczko pałało rumieńcem, a pod chmurą batystowego negliżu falowała pierś dziewicza lubem wzruszeniem. Rozmarzona, wsłuchiwała się w nocturn szopenowski, który właśnie wygrywał fonograf, odtwarzając grę Paderewskiego.

Z niezmierną lubością wczytywał się Czarny Tulipan w myśli uroczego dziewczęcia, które były dla niego teraz jak gdyby księga otwarta. Namiętna pieśń, tryskająca z aparatu, biegła po jej duszy, niby lekkie, wiosenne tchnienie, budząc ją do życia, do kochania, do uciechy. Jakiś nieuczuty dotychczas prąd przenikał ją, rodząc w jej sercu nieokreślone pragnienia, kołysząc ją w niepochwytne sny i napełniając błogą tęsknotą. Było li to upojenie, w jakim się znajdowała, skutkiem czarodziejskiej muzyki, wydobywającej się z aparatu,— czy też wynikiem przeczucia, iż właśnie w tej chwili druga, siostrzana dusza jednoczy się z nią i zespala, wpatrzona w myśli jej i uczucia— tego nie umiałbym powiedzieć. Nawet i Czarny

Tulipan nie zdawał sobie sprawy, jaki może być powód owych upojeń nadobnej dziewczicy. Czuł tylko, że się w niej odbywa w tej chwili dziwne jakieś przeobrażenie, że się coś w jej sercu nagle zbudziło i rozkwitło, i że to uczucie napęlnia ją szczęściem bez miary.

Nagle z łona tych niepochwytnych rojeń, które snuł umysł pięknej kreolki, wytrysnęła postać młodego i przystojnego blondyna w granatowym smokingu, białej kamizelce i zawa-
dyacko na tyle głowy osadzonym pilśniowym kapeluszu. Dolores powitała uśmiechem to zjawisko. Wszystkie szczegóły jej wczorajszej przygody przesunęły się przed jej oczyma. Ujrzała fronton kościoła św. Magdaleny i zgiełkliwy tłum, mrowiący się na bulwarze, i dębiące się konie, które powóz jej ciągnęły, i elektrowóz, nadjeżdżający w szybkim pędzie, a grożący jej nieuniknioną zatrata. I ujrzała, jak blondyn ów zręcznie wskoczył na kozioł pędzącego rydwanu, jak odtrąciwszy niedołęznego maszynistę, zatrzymał w miejscu wóz złowrogi,—jak z pod koni, dębiących się w dzikim popłochu, dobył wystraszonego komisyonera,—jak potem, uchwyciwszy lejce rzucających się jeszcze rumaków, zaprowadził je na tor właściwy,—i wreszcie, jak dokonawszy tego dzieła, i gdy mu dziękowała spojrzeniem i uśmiechem, wdzię-

kiem jej oczarowany, bezmiarem szczęścia wniebowzięty, utopił z wyrazem niewysłownego uwielbienia w jej źrenicach swe wielkie, niebieskie oczy, przesyłając jej w rozkochanem spojrzeniu całą duszę.

Upojona dźwiękiem zachwycającej muzyki, tryskającej z wnętrza fonografu, a budzącej ją do życia, do kochania, do uciechy, do pieszczoty, — rozmarzona temi niepochwytne-
mi rojeniami, które snuła przed chwilą, — nieokreślonemi pragnieniami, jakie się były zbudziły w jej dziewiczym łonie, płonąca, ujrzała Dolores to wszystko w wspomnieniu, a powrotna fala doznanych wrażeń, jeżeli nie mocniej, to głębiej wstrząsnęła jej duszą. Ani straszliwa groza położenia, ani głos samozachowawczego instynktu, ani współczucie dla poturbowanego nieco komisyonera, ani zdziwienie, ani radość, jaką ją wczoraj napełniła świadomość doznanego ocalenia, nie mąciły teraz ogarniającej ją powodzi. Wpatrzona w przesuające się przed jej oczyma widzenie, poddawała się z lubością temu uczuciu, które w jej sercu zbudził widok blondyna i które, rosnąc i rosnąc, opanowywało niepodzielnie całą jej duszę.

Bohater nasz odczuł to, jak uroczemu dziewczęciu na widok jego rozkosznie pierś

wezbrała, jak pod tem wrażeniem silniej uderzyło jej serce, jak się błogością napełniła jej dusza, niby puhar aż po brzegi nalany. Odczuł podziw, jaki w sercu uroczej zbudziła śmiałość jego, zręczność i odwaga; odczuł to bezmierne uradowanie, jakim napełniły jej serce, to bezgraniczne uwielbienie i ten hołd niemy, który wyczytała w jego spojrzeniu. I widział, jak się w niego z lubością wpatrywała piękna kreolka, nie mogąc oczu oderwać od jego w nią wpatrzonych źrenic, — jak później, gdy powóz z miejsca ruszył, biegnąc myślą ku niemu, wyciągnęła w stronę pierzchającego widzenia białe swe, pulchne ramiona z uczuciem niewysłowionej miłości i tęsknoty. Czar-ny Tulipan zrozumiał, że uczucie to, które w sercu tego niewinnego dziewczęcia przez niego i dla niego tylko rozkwitło, zapanowało tam wszechwładnie, i że to jest właśnie owa druga jego duszy połowa, której dotychczas szukał daremnie.

Istotnie, zazdrościć można naszemu bohaterowi tych rozkosznych wrażeń. Być świadkiem przebudzenia się miłości w sercu ubóstwiającej kobiety, — odczuwać wszystkie najskrytsze drżenia, jakie wstrząsają piersią dziewczącą w chwili, gdy się dusza jej po raz pierwszy otwiera do kochania, — wsłuchiwać się w tajemne

szeptybudzących się w niej uczuć i przeczuć— zaiste, że to szczęście nielada! Rozkosz tę czynił synom XX wieku dostępnym olbrzymi postęp wiedzy, która, zdobywając jedną po drugiej wszystkie przyrody tajemnice, doszła była w końcu do tak świetnych wyników. To prawda, że wiedzy tej nie szukali oni w encyklopediach i gramatyce Ollendorfa—które, według pana Świętochowskiego, opierającego się oczywiście, jako pozytywista, na doświadczalnej metodzie, mają być krynicą wszelkiej mądrości, — lecz gdzieindziej.

Ocuciwszy się z magnetycznego uśpienia, zachował Czarny Tulipan pamięć doznanych we śnie wrażeń, z których wyszedł bardziej jeszcze rozkochany i nad wszelki wyraz szczęśliwy.

— Kocha mnie, kocha! — zawołał, rzucając się doktorowi Ochorowiczowi na szyję. — Znalazłem moje drugie „Ja“, którego dotychczas szukałem daremnie; znalazłem je nareszcie!... Jakże ci wdzięczny jestem, żeś mi dał sposobność wniknięcia w jej duszę i przekonania się o mojem szczęściu, o jej tak żywem dla mnie uczuciu. Teraz lecę do mojego żyda, by zdobyć flotę, potrzebną na podróż do Paryża.

I podniesiony na duchu, nie wątpiąc o niczem, pobiegł do potomka biblijnych patryar-

chów, z którym zwykł był załatwiać drobne finansowe operacye.

Tymczasem nie zasypiała mściwa Niezabudka gruszek w popiele—i po kilku dniach, które nasz bohater, łudząc się nadzieją zdobycia potrzebnych mu na drogę funduszków, strawił na bezowocnem kołataniu do rozmaitych dwunożnych i brodatych finansowych instytucyi, doreczono mu pozew Weroniki z Trzypsztyckich *primo voto* Kokosznickiej, *secundo voto* Gimplowej, *tertio voto* Dziembinej, *quarto voto* Pospiszyłowej, *quinto voto* Kołduńskiej, *sexto voto* Bandurowskiej, *septimo voto* Mazurkiewiczowej, właścicielki kamienicy przy ulicy Krupniczej N. 7 we Lwowie i realności na Hołosku. Tak opiewała w całej swej okazałości poważna firma społeczna sentymentalnej wdowy.

Powódka oskarżała Czarnego Tulipana, literata, zamieszkałego w Warszawie, o niespełnienie małżeńskich zobowiązań, dobrowolnie przez niego we Lwowie przed laty stu trzydziestu pięciu zaciągniętych, domagając się zabezpieczonej osobistym przymusem egzekucyi praw swych, z tego tytułu nabytych. Oprócz tego wzywała sąd, by jej od pozwanego przyznał odszkodowanie za wszystkie z tej przyczyny doznane zawody i nieprzyjemności w łącznej

sumie guldenów 123,675 i centów 23 wraz z sześcioprocentowymi odsetkami zwłoki, licząc je od dnia 8-go kwietnia roku 1858, czyli za lat sto trzydzieści pięć i dni dziewięćdziesiąt siedem.

— Oszalała baba! — parsknął Czarny Tulipan, odczytawszy pozwanie. — Najoczywiściej oszalała! Któryż sąd przyzna słuszość tej napaści? Już i tak pojąć nie mogę, że przyjęli skargę tej waryatki. Widocznie jakieś bałamuctwo, które się niewątpliwie wkrótce wyjaśni — dodał, rzucając pozew na stół z lekceważeniem.

Nie mógł jednakże odegnać myśli o dziwackich roszczeniach wdowy po siedmiu mężach, której widoczna zaciętość poczęła go niepokoić. Cokolwiekby, przybywał mu kłopot nowy, którym zajmować się nie miał czasu, ni chęci. Będzie musiał szukać opieki u prawników, naradzać się z adwokatami, kto wie — może nawet stawać przed sądem; — tego mu wcale nie było potrzeba! Jakikolwiekby zresztą obrót wzięła ta nudna sprawa, nie uniknie rozgłosu, jaki z pewnością wywoła proces stosiedemdziesięciopięcioletniej wdowy przeciw stopięćdziesięciosiedmioletniemu kawalerowi o niedotrzymanie małżeńskich przyrzeczeń. Kto wie, jakie to za sobą pociągnie skutki? Zaniepoko-

jony, udał się do adwokata, d-ra Jana Maurycego Kamińskiego, prosząc go o pomoc i opiekę.

Sprawa była istotnie wcale nie do śmiechu. Dramaturgowie, powieściopisarze i noweliści pod koniec XX wieku tyle zapisali byli papieru, biorąc w obronę „niewiadomość ewianą“ przeciw „zdradzie obłudnego węża,“ iż wszystkie rządy, ulegając naporowi objawiającego się w ten sposób ducha czasu, a mając nadto własne cele na względzie, poszły za przykładem purytańskiej Anglii, zaprowadzając u siebie sądy, rozpatrujące sprawy małżeńskich przyrzeczeń i ścigające „węża“ z bezwzględną surowością. Najniewinniejszy flirt, uśmiech przyjazny, spojrzenie życzliwe, ofiarowany bukiet lub funt karmelków, mogły się stać powodem do skargi i zasądzenia; od czasu bowiem, gdy Lombroso i jego szkoła wnieśli zamęt w jurydyczne pojęcia, królowała w sądownictwie sentymentalna kazuistyka i wszystko zależało od psychologicznych motywów — w danym wypadku od tego, jak panna, przyjmując różę od kawalera, dar ten pojęła; jaki był kolor tej róży—biały czy czerwony; i czy się strona skarżąca, wobec tak sformułowanego a niedotrzymanego zobowiązania, czuje pokrzywdzoną.

Zaostrzała jeszcze surowość tej instytucji i ta okoliczność, iż sądy te były mieszane i że w nich zasiadały kobiety, czyli raczej — bo to nie na jedno wychodzi — doktorki praw, które, sterawszy zdrowie na ślęczeniu nad książkami, wносиły w publiczne i prywatne życie wypiełgnowaną nadmiernymi wysiłkami histeryę. Skargę i obrony powódek prowadziły wygadane adwokatki, obeznane ze wszystkimi kruczkami i nie skąpiące krasomówczych kwiatków, gdy chodziło o pogwałcenie przeciwnika. Cały ten zastęp kapłanek sprawiedliwości ział antagonizmem ku płci brzydkiej — antagonizmem, wypływającym nie z natury, lecz właśnie z przeciwnych naturze roszczeń, z wewnętrznego niezadowolenia i z histeryi. Mógł się mieć z pyszna ten, kto się dostał na takie języki!

Mimo to wszystko, podjął się doktor Jan Maurycy obrony naszego bohatera, krzepiąc w nim otuchę i zapewniając go, że sprawa nie może być na jego niekorzyść rozstrzygnięta. Będzie musiał wprowadzić z ust adwokatki strony przeciwnej niejedną rzecz niemiłą usłyszeć, ale na to niema rady. Zresztą nikt nie bierze na seryo kwiatków krasomówczych, które się w takim wypadku sypią jak z rogu obfitości.

— Cokolwiekbądź, nie będzie to cios śmiertelny — dorzucił żartobliwie, — zwłaszcza w wieku Brown-Séquardiny!...

Słowa te dodały Czarnemu Tulipanowi otuchy. Jakoż w kilka dni później, gdy nadszedł termin sądowej sprawy, udał się w towarzystwie swego obrońcy do „przybytku Temidy“ z fantazyą i pełen dobrych myśli — rozumie się, o ile pełnym dobrych myśli być mógł wobec ciągle jeszcze trwającego niepowodzenia jego finansowych operacyi. Dla ścisłości zaznaczyć muszę, że w tej chwili nie myślał o nich wcale. Niósł go jakiś wiatr krzepiący, który nie wiedzieć skąd przychodził, a napętniał go nadzieją, że to już koniec jego troski, i że po przebyciu dzisiejszej, ostatecznej próby, wszystko weźmie obrót dla niego pomyślny, a zadawalniający dla czytelników, interesujących się jego losem.

Sala była przepelniona publicznością. Proces stosiedemdziesięciopięcioletniej wdowy po siedmiu mężach, domagającej się od sto pięćdziesięciosiedmioletniego kawalera dopełnienia zobowiązań małżeńskich, zaciągniętych przed stu trzydziestu pięciu laty, budził powszechne zajęcie. Mianowicie płeć piękna, a szczególnie ta jej część, która hołdując emancypacyjnym dążeniom, ożywiona była antagonizmem ku wąsatej ludzkości połowie, była

nader licznie reprezentowaną w tem zebraniu. Ławki dla prasy zastrzeżone zasiedli sprawozdawcy miejscowych i zagranicznych dzienników. Ilustrowane pisma angielskie, francuskie i niemieckie wysłały były na miejsce specjalnych korespondentów i rysowników. Wszystko to stwierdza wymownie, jak wielki rozgłos otaczał tę sprawę, którą prasa miejscowa, a mianowicie pisma kobiece, wydeły były do rozmiarów tego, co Francuzi nazywają *une cause célèbre*.

Więc też gdy przy boku swego wymownego obrońcy „elastycznym krokiem blondyna w białej kamizelce“ do sali wszedł nasz bohater, zwróciły się na niego wszystkie oczy—męskie z współczuciem, kobiece z ciekawością i zajęciem, emancypanckie z tryumfującą zawiścią i srogością. Skala uczuć, które w tych spojrzeniach doszły do wyrazu, najlepiej charakteryzuje to zebranie, a zarazem i sąd publiczności o tej sprawie, mającej niebawem rozstrzygnąć o dalszych losach Czarnego Tulipana. Chwilę jakąś zaległa szczelnie nabitą salę „cisza tak wielka, że aż w uszach zadzwoniło“ naszemu bohaterowi i jego obrońcy. Nie zważając jednak na to „dzwonienie“ i przypisując je dwóm kieliszkom *Extra dry Madeiry*, wypitym po drodze do sądu dla lepszego rezonu

udali się na przeznaczone dla nich miejsca. Usadowiwszy się wygodnie, powiódł Czarny Tulipan okiem po zebraniu — niewzruszony i swobodny pod gradem zewsząd ku niemu zwróconych spojrzeń, „nanośników,“ okularów i lornetek.

Na widok ten przebiegł szmer po sali. Ten i ów uczuł potrzebę wypowiedzenia uwag, które mu nasunęło pojawienie się oskarżonego. Hurtem wzięwszy, wrażenie, jakie wywołał, było korzystnem; wszystkich ujął młodością swoją, męskim wdziękiem i swobodą. Jedne tylko emancypantki trwały w wrogiem dla niego usposobieniu, I nie dziw—były to bowiem przeważnie stare panny, które, czując żal do całego świata, z powodu, że je „omineło małżeńskie szczęście,“ musiały oczywiście w stopięćdziesięciosiedmioletnim kawalerze, unikającym narzucanego mu „hymenu,“ widzieć niejako sprawcę swojego losu i osobistego śmiertelnego wroga. Nie potrzebuję dowodzić, że nic nie usprawiedliwiałoby tego uprzedzenia. Wszak wiadomo, że stare panny (biorę tu wyraz ten w złem jego znaczeniu!) rodzą się już starami pannami i że rodzaj ten (zobacz w Buffonie) rozmnaża się przez samorodztwo.

Nagle ucichł gwar, rozbrzmiewający dookoła; uwaga publiczności zwróciła się w inną

stronę. Do sali weszła powódka, w ciężkiej (po siedmiu mężach) żałobie, opierając się na ramieniu prawnej swej doradczynie, ubranej w togę i biret doktorski. „Szła krokiem podciętego kwiatu“ (styl hajotyczny!), uginając się pod brzemieniem przygniatającej ją krzywdy. Na pierwszy rzut oka widać było, że niechętnie występuje do walki, że tylko srogość doznanego ucisku zmusza ją do szukania opieki i obrony. Słowem odtwarzała Niezabudka dość wiernie typ dumasowskich świętych męczenniczek, o których, ku wielkiemu tryumfowi małej, teatralnej moralności (tej, która wielką, prawdziwą zabija), dowiadujemy się w piątym akcie, iż „ściśle rzeczy biorąc, były niewinne,“ i że, pomimo pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego aktu, zasługują na wieniec z róż niepokalanych i „moralne współczucie.“

Od tej złamanej, „tragicznej“ postaci odbijała energią i dzielnością postać jej towarzyszki. Twarz jej bladą, chudą, żółtą i przedwcześnie zmiętą, ożywiał w tej chwili wyraz złośliwego tryumfu. W ostrem spojrzeniu jej oczu malowała się srogość, w zaciśniętych wargach—zawziętość, w kącikach ust, boleśnie ku dołowi ściągniętych, gorycz przeszła w jad zatruty. Dumnie w górę podniesione czoło zdawało się mówić: „Patrzcie, co może kobieta

uparta i zawzięta!“ Rzekłoby się, że nie idzie, lecz jedzie na jasnokościstej jakiejś Rozynance, gotowa kopię kruszyć w obronie Dulcynei, przeświadczona o niezmiernej doniosłości tej misyi. Szkoda, iż typ ten należy do XX w., zretuszowawszy go bowiem odpowiednio, mogłyby współczesne nasze amazonki piszące robić na nim złote interesy.

Wejście tych dwojga powitał ze strony emancypantek szmer uwielbienia, ze strony mężczyzn i kobiet mniej lub więcej tłumione szydercze śmiechy. I jedne i drugie uciszył niebawem głos woźnego, oznajmiający, że sąd nadchodzi. Wszyscy powstali i wśród ogólnej ciszy weszli do sali członkowie sądu — mężczy w mundurach, żeńscy w togach i biretach. Na dany znak usiedli znowu wszyscy i przewodniczący zagał roki, wzywając instygatorkę do odczytania oskarżenia.

Nader umiejętnie zredagowaną była filipika, wymierzona przeciw Czarnemu Tulipanowi. Wina jego leżała jak na dłoni; on sam wychodził z oskarżenia „grubo“ nadszarpany i zasmolony. Za pośrednictwem lwowskiej filii „Międzynarodowego stowarzyszenia magnetycznych połączeń“ wniknęła Niezabudka w najskrytsze tajniki jego uczuć i myśli. Łatwo zgadnąć, jakie na podstawie tego materiału ukuć prze-

ciw niemu potrafiła zarzuty rabulistyka niesumienna a zawistna.

Wedle pozwu, był nasz bohater nałogowym Lovelasem, który pod pozorem, iż szuka swego drugiego „Ja“, będącego uzupełnieniem jego istoty, od lat stu trzydziestu pięciu uprawia swe nieczne rzemiosło (szmer zgrozy na ławkach emancypantek), usidlając swe ofiary miłosnemi, po części rymowanemi zaklęciami, a następnie zdradzając zbudzone w ich sercu nadzieje i tłómacząc haniebną zdradę swą kłamliwym oświadczeniem, że się co do istoty swego drugiego „Ja“ pomylił; że ta, którą nazywał drugą swą duszą połową, była przedtem lub potem drugim „Ja“ innego („hańba! hańba!“—na ławkach emancypantek. Prezydujący wzywa publiczność, aby się zachowywała spokojnie).

Podsądny jest tak biegłym w swoim rzemiosle, iż operuje nawet przez telefon i telefotoskop, na odległość kilkuset mil. Są dowody, iż siedząc w cukierni Loursa na Krakowskim-Przedmieściu w Warszawie, zdołał rozkochać młodą i bogatą polską kreolkę, przejeżdżającą właśnie w tym czasie bulwarem św. Magdaleny w Paryżu (szmer zdziwienia w całym zebraniu. Wszystkie spojrzenia, „nanośniki“, okulary i lornetki zwracają się w stronę Czarnego

Tulipana). MoŜnaby mieć współczucie dla tego nowego, w sposób tak niezwykle zadzierzgniętego romansu, gdyby wolno było liczyć na szlachetność uczuć i stałość oskarżonego. Niestety, tak nie jest; istnieje bowiem uzasadnione podejrzenie, że Czarny Tulipan, usidlając za pomocą swych sztuk niewinną polską kreolkę w Paryżu, bałamuci równocześnie automatyczną syrenę, usługującą w jednej z podwodnych warszawskich restauracyi („słuchajcie! słuchajcie!”—na ławkach emancypantek; Niezabudka kiwa głową z żalosnem westchnieniem).

I cóż dziwnego, że powódka dała się usidlić tak wyrafinowanej obludzie? Złamana ciosem, który ją niedawno temu dotknął, niedoświadczona (była wtedy wdową dopiero po dwóch mężach), uwierzyła słowom pociechy, które jej niósł chytry uwodziciel. I niechaj nikt dla uniewinnienia zdrajcy nie podnosi przeciwko niej zarzutu, iż, przez niego zdradzona, szukała pociechy w pięciokrotnych małżeńskich związkach. To świadczy tylko o jej tklivości, to jeno dowód, jak srodcie zraniła jej serce ohydna zdrada obludnika. (Szmer przyświadczejacy na ławkach emancypantek. Niezabudka ociera oczy z lez rzewliwych).

— MoŜnaby tutaj zarzucić—tak ciągnęła dalej instygatorka, — że zobowiązania małżeń-

skie, przezoskarżonego względem powódki przed laty stu trzydziestu pięciu zaciągnięte, uległy już przedawnieniu; możnaby zresztą powołać się na zasadę, że prawo wstecz nie działa, i bronić złej sprawy podsądnego, stwierdzając, iż w mowie będące zobowiązania małżeńskie zaciągnięte zostały w roku 1858, a więc na lat sto przed ustanowieniem praw, na które się powołujemy. Wszelakoż te zarzuty nie mogą żadną miarą osłabić praw, z tego tytułu przez powódkę nabytych, albowiem oskarżony w najnowszym czasie wzmocnił i na nowo utwierdził ciągłość tych praw swoim zachowaniem się wobec mojej klientki. W roku 1856 nazywał podsądny powódkę „swojem drugim Ja, swym dobrym aniołem, swoim skarbem, swą duszą.“ Owóż w roku bieżącym w numerze 186 *Kuyera Warszawskiego* ogłosił on wiersz, pełen najtkliwszych wynurzeń, a zatytułowany: „Do mojego drugiego Ja.“

— Będziemy prosili o odczytanie tej literatury—przerwał doktor Jan Maurycy Kamiński.

— Niezawodnie, że go odczytamy — odparła z zjadliwym uśmiechem instygatorka.— Wiersz ten jest dla nas bardzo ważny i będę się starała udowodnić, że nie mógł być pisanym do nikogo innego, tylko do mej klientki, która oryginał jego, pisany w roku 1856, prze-

chowala w swoim albumie. Lecz mniejsza już o poezję, co do której może nam ktoś zarzucić, iż nie można tak ściśle brać tego, co piszą poeci. Ważniejszym pono jest fakt, że podsądny, rozmawiając przed tygodniem z powódką, nazwał ją „swoim aniołkiem.“ (Głośna wesołość w ławkach, zajętych przez pleć brzydką. Kobiety zwracają z ciekawością lornetki w stronę niepokojącej się Niezabudki. Szmer oburzenia w ławkach emancypantek. Przewodniczący grozi opróżnieniem sali).

— Ponieważ w sferach, do których należą podsądny i powódka, wyrazu takiego użyć można tylko do osoby, co do której się ma poważne zamiary — ciągnęła dalej instygatorka, — przeto oczywistym jest, że Czarny Tulipan, używając tak pieszczotliwego epitetu, wzmocnił i na nowo utwierdził ciągłość praw, jakie powódka, z tytułu jego przed laty stu trzydziestu pięciu względem niej zaciągniętych małżeńskich zobowiązań, nabyła. Na tych opierając się podstawach, żąda powódka w myśl § 5 lit. *a* ustawy o ściganiu tych, którzy się usuwają od spełnienia przyjętych małżeńskich zobowiązań (Dziennik praw z d. 21 stycznia roku 1956), zabezpieczonej osobistym przymusem egzekucyi swych praw, oraz w myśl § 10 lit. *c* powołanej ustawy przysądzenia jej

odszkodowania za wszystkie z tej przyczyny doznane zawody i nieprzyjemności w kwocie 123,675 guldenów i 25 centów wraz z sześcioprocentowymi odsetkami zwłoki, licząc je od dnia 8 kwietnia r. 1858, co wedle przedłożonego Wysokiemu Sądowi obliczenia wynosi ogółem 123,764,529 guldenów i centów 19 i pół.

— Drogiby to był aniołek! — zawołał obrońca d-r Kamiński.

Przewodniczący zawezwał go do porządku, grożąc równocześnie publiczności, rozweselonej tą uwagą, iż jej każe salę opuścić, jeżeli zachowaniem się swoim będzie uwłaczała powadze toczącej się rozprawy.

— Wysoki Sądzie — ciągnęła dalej instygatorka z zapalem, — nie chodzi tu wcale o to w zasadzie jeno wymagane odszkodowanie, które doznanych przez powódkę zawodów i przykrości nie wynagrodzi, a którego klientka moja prawdopodobnie z polskiego literata nigdy ściągnąć nie potrafi, lecz o ukaranie niepoprawnego przestępcy, o przykład odstraszający dla tych, co podobnie jemu igrają lekkomyślnie z najczystszeimi, najświętszeimi uczuciami, o wymiar sprawiedliwości dla uciśnionej wdowy, o obronę słabej kobiety. Polegając na słuszności swej sprawy, która jest zarazem sprawą całej uciśnionej płci niewieściej

i niezawodnie znajdzie oddźwięk w każdym szlachetnem sercu, nie wątpi powódka, iż Wysoki Sąd w zupełności uzna jej pokrzywdzone prawa i do wykonania zlekceważonych obowiązków, oraz do naprawy zła, jakie zdziałał, zmusi niecnego uwodziciela.

Po odczytaniu tego dokumentu rozpoczął przewodniczący szczegółowe badanie oskarżonego. Bohater nasz nie zaparł się wcale, iż poznawszy Niezabudkę na trzeciej maskaradzie w roku 1858, sądził z razu, iż w niej znalazł drugą swej duszy połowę. Z tego mniemania wyleczyła go powódka, rozbiwszy mu głowę talerzem, przy sposobności sceny zazdrośnej, którą mu zrobiła. Przekonawszy się, iż swego drugiego „Ja“ nie powinien szukać pomiędzy malowanemi wdówkami, uczęszczającemi na trzecie maskarady, od tego przekonania odstąpić nie myśli, gdyż tem, coby mógł dać powódce, jest, co najwięcej, szacunek. (Niezabudka mdleje. Szmer oburzenia w ławkach emancypantek. Niektóre z nich, nie mogąc powstrzymać swego podrażnienia, lżą oskarżonego, który się pod gradem obelg ironicznie uśmiecha. Przewodniczący wzywa je do spokoju, grożąc stanowczo i po raz ostatni, że każe publiczności salę opuścić).

Po oskarżonym zabrał głos obrońca w świetnem przemówieniu.

— Nie pojmuję—rzekł z uśmiechem,—iż się tak długo zajmujemy sprawą, od dawna już przesądzoną. Nie będziemy się bronili zaśłem już dawno przedawnieniem zobowiązań, przyjętych przed stu trzydziestu pięciu laty. Nie będziemy się zasłaniali zasadą, iż prawo wstecz nie działa, jak to przypuszczała moja przeciwniczka. Nie będziemy również usiłowali wykazać niesłuszności roszczeń powódki, powołując się na to, iż sama, wstępując pięciokrotnie w związki małżeńskie, unicestwiła prawa, jakie była nabyła z tytułu zobowiązań, przedtem przez mego klienta zaciągniętych, Złożymy dowód, że wiemy, co winni jesteśmy płci niewieściej, że umiemy uszanować tkliwość wdów, szukających pociechy! Nie będziemy wreszcie, jakkolwiekby nam to trudnem nie było, wykazywali, że ani z tytułu wiersza mego klienta, ani z powodu użytego przez niego wyrazu „mój aniołku,“ nie może być podniesiony przeciw niemu zarzut poważny. I wiersz i wyraz ten w ustach Czarne go Tulipana, który, jak wiadomo, jest poetą, mają tylko literackie znaczenie (niepokój na ławkach emancy pantek) i miał on najzupełniejsze prawo wyrazić się tak, czy to pismem, czy też ustnie,

gdyż, jak powiada Szyller: „To tylko może nieśmiertelnie żyć w pieśni, co już w życiu umarło.“ Klient mój, używając wyrazu „mój aniołku,“ odnosił to najwidoczniej do dawno minionej przeszłości. (Szmer i uśmiechy ironiczne na ławkach emancypantek). Obrona nasza oprze się na czym innym, a mianowicie na prawnej zasadzie, iż z tytułu jakichś zobowiązań można tego, który je przyjął, pociągać do odpowiedzialności tylko w zakresie tego, do czego, wedle swych przekonań, mógł się w danym wypadku zobowiązać faktycznie. Owóż, do czego mógł się przed wynalezieniem „Vitaliny,“ wedle swego przekonania, w roku 1856 zobowiązywać dwudziestodwuletni młodzieniec, ślubujący ukochanej kobiecie, że ją będzie kochał do grobu? Do tego, iż ją będzie kochał jakich pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, powiedzmy siedemdziesiąt lat, a więc, że ją będzie kochał co najwyżej do roku 1928! Wysoki Sądzie! sprawę, która nas zajmuje, przesądziła już od dawna przyroda! Obecnie liczymy rok 1993. A więc umarł już od dawna klient mój i umarła powódka, tak, jakeśmy już wszyscy pomarli, bo to, że dziś jeszcze żyjemy, zawdzięczamy jedynie eliksirowi Brown-Séquarda! Z tych tedy powodów i opierając się na poprzednio przyto-

czonej jurydyecznej zasadzie, raczy Wysoki Sąd oddalić skargę powódki i uwolnić mego przyjaciela od wszelkiej odpowiedzialności!

Olbrzymie wrażenie wywołał *speech* wymownego obrońcy. Wygadana adwokatka rzekła się głosu, bo istotnie cóż miała odpowiedzieć? To było „M'Buana Kuba“ — rzecz, przed którą można tylko czoło uchylić i milczeć!

Więc też, przekonany wywodem szanownego doktora Jana Maurycego, sąd po krótkiej naradzie zwolnił pozwanego od wszelkiej odpowiedzialności, skazując równocześnie powódkę na zapłacenie kosztów procesu.

Usłyszawszy wyrok ten, próbowała Niezabudka zemdleć na dwa tempa i trzy poruszenia, wedle przepisu dramatycznej szkoły pp. Szymanowskiego i Kotarbińskiego. Wiedząc jednakże, że popisem tym nie zdoła wywrzeć zamierzonego efektu, zerwała się na równe nogi i, zwróciwszy się z pałającym wzrokiem w stronę Czarnego Tulipana, zawołała:

— Ha! kreolka ci pachnie, kreolka! Pachną ci brazylijskie miliardy, ha!... Ale poczekaj, znajdziesz mnie jeszcze na twojej drodze! Poznasz, co to obrazić kobietę, która godność swoją ceni!

To rzekłszy, oparła się na ramieniu swej adwokatki i wyszła z sali „krokiem podciętego kwiatu, chwiejącego się na swej łądydze (powinno właściwie być „na dwóch łądygach,“ bo jeżeli o nogi chodzi, to było ich dwie. *Przypisek analizującego korektora*). Za nią „powlókł się zapach Lwowianki Ihnatowicza.“ (Styl pani Zapolskiej).

Miał słuszność Czarny Tulipan, nie tracąc fantazyi i żywiąc nadzieję, że sprawa, którą mu wytoczyła Niezabudka, stanowić będzie punkt zwrotny w przebiegu jego romansu, i że, po przebyciu tej ostatecznej przeszkody, wszystko potem pójdzie mu już tak gładko, jak kieliszek „Chablis“ po przełkniętej ostrydze. Przeczucie to nie omyliło go, i ciekawą niezawodnie rzeczą jest, iż niedyskrecye rozindycznej wdowy stały się właśnie podstawową przyczyną tego pomyślnego zwrotu.

Bohater nasz zaprzestał już był zabiegów celem uzyskania pożyczki, przekonawszy się dowodnie, iż potomkowie biblijnych patriarchów nie słyszą kolejno to na jedno, to na drugie ucho — dziwnym trafem na to właśnie, do którego zwracał swe gruchanie o trzech tysiącach rubli, potrzebnych mu na wyjazd do Paryża i na konkury. Skoro jednak za pośrednictwem fonograficznych dzienników

rozniosła się po Warszawie nowina o tem, co zaszło w sądowej sali, wraz odstąpiła zatwardziałyich wyznawców starego testamentu spazmatyczna ich głuchota.

Wiadomość o polskiej kreolce, posiadającej miliardy, ściślej mówiąc, wiadomość o miliardach, wprawiła w rozkoszne drżenie ich słuchowy bębenek; słuchowy bębenek przesłał bezzwłocznie to wrażenie drobnym kosteczkom w średnim uchu, drobne kosteczki podały je błonie labiryntu, błona labiryntu zawiadomiła o niem płyn w wewnętrznym uchu, płyn w wewnętrznym uchu oznajmił je kończynom słuchowego nerwu, a nerw słuchowy doniósł o niem mózgowi.

Taką to pantoflową pocztą — którą tu *ad captandam benevolentiam* pana Chmielowskiego opisałem szczegółowo „nie jako artysta, lecz przyrodnik“ — dotarła wieść o miliardach pięknej kreolki do *sensorium* potomków Abrahama, Izaaka i Jakóba. A gdy *sensorium* tych panów zrozumiało, iż Czarny Tulipan rozkochał piękną kreolkę i że ta kreolka ma miliardy, w mig orzekło, że Czarny Tulipan jest „bardzo porządni pan“ i że można z nim zrobić interes!

Zdziwił się też wielce nasz bohater, gdy trzeciego dnia po sądowej rozprawie zawiąły

do niego od razu trzy aż dwunożne i brodate finansowe instytucje, ofiarując mu swoje usługi. Spotkawszy się na tym gruncie, rozpoczęły z sobą spór o kompetencję, każda z nich bowiem utrzymywała, że Czarny Tulipan „leży wyłącznie w sferze jej interesów,“ a żadna nie chciała swych współzawodniczek do praw z tego tytułu nabytych dopuścić. Po dłuższych, nader burzliwych, a w finansowym języku prowadzonych rozprawach, zgodzono się wreszcie na zawarcie spółki, opartej na równych udziałach. Bohater nasz, czując, iż chwila do objawu antysemitycznych dążeń nie jest sposobna, zgodził się na wymagany procent mojżeszowego wyznania (oko za oko! sto za sto!) i podpisał weksel z sześciomiesięcznym terminem na półpięta tysiąca rubli. Po dopełnieniu tych formalności, dokonano jeszcze—celem umorzenia weksłu, który właśnie w tym miesiącu zapadał—na sumie, mającej dojść do wypłaty, malutkiej rytualnej operacyi,—poczem wypłacono już Czarnemu Tulipanowi resztującą kwotę w ilości 2,785 rubli i kopiejek 56!

— *Victoria!* — zawołał nasz bohater po wyjściu kapitalistów. — *Victoria!* Dziś jeszcze wyjeżdżam do Paryża!... Droga, jedyna, słonko moje złote! jutro już będę przy tobie!

I rzuciwszy w kąt spory zwój rękopisów, z którymi poprzednio zamierzał udać się do wydawcy, celem ubicia jakiegoś interesu, zabrał się do pakowania swych podróżnych manatków. Uskuteczniwszy pracę tę z gorączkowym pośpiechem, usiadł w fotelu i jął marzyć z uciechą, która go upajała, aż chmurny i jak gdyby przygnębiony szczęścia nadmiarem. Jest albowiem pewna miara błogości, której człowiekowi przekroczyć nie wolno, a po której przekroczeniu dusza czuje się niejako obarczona zbyt ciężkim brzemieniem i mdleje, tak jak kwiat, chylący pod ciężarem rosy kielich swój ku ziemi, jakkolwiek z kryształowych pereł jej wszystkiemi porami wchłania w siebie czerstwość, i rozkosz i życie!

Chwilę jakąś siedział Czarny Tulipan w zamyśleniu, nie mogąc sobie zdać sprawy z uczucia, które nim owładło. Tęsknota ku tej jedynej, którą zwał swem drugiem „Ja“ i którą miał wkrótce zobaczyć, rozsadzała mu piersi; zdawało mu się, że czas, który go dzieli od jej widoku, wydłuża się w nieskończoność. Rozdrażniony, spojrział na zegarek. Miał przed sobą jeszcze trzy godziny oczekiwania i niepokoju. Nie namyślając się długo, powstał śpiesznie z fotelu, osadził na głowie kapelusz, i pobiegłszy do „Międzynarodowego biura magne-

tycznych połączeń," kazał się z sennorą Dolores wprowadzić w magnetyczny związek.

Nie mogę się tutaj powstrzymać od ponownego zwrócenia uwagi czytelników na dobroczynność tej wspaniałej instytucji, która synom XX wieku w każdej chwili dostępnem czyniła ukojenie trapiącej ich miłosnej tęsknoty. Jakże ciężko troskać się nieraz musi i niepokoić dzisiejszy kochanek, lub, co zresztą w praktyce tak bardzo rzeczy nie zmienia, ten, który co do posagu jakiejś bogatej panny żywi „poważne zamiary," gdy w oddaleniu i niepewności rozważa widoki urzeczywistnienia swych pragnień gorących, gdy, stojąc przed tajemniczym sfinksem, suszy sobie mózg nad rozwiązaniem zagadki, od której szczęście jego i spokój, a względnie „wikt i opierunek" zależą!

Dolegliwości tych nie znali szczęśliwi synowie XX wieku; chroniło ich przed niemi biuro doktora Ochorowicza. Wystarczało kilka magnetycznych pociągnięć, by połączyć dwie ku sobie tęskniące dusze, tak, jak dwa dźwięki, zlewające się z sobą w jeden akord doskonały, jak dwa westchnienia, spływające w jedno westchnienie, jak dwa płomyki, zestrzelające się w jeden płomień, ożywiający dwa ciała jednym życiem. Więc też po przebyciu znanego już morza różanych świtów

i liliowej woni, które, jak wiadomo, tworzy atmosferę, otaczającą dziewicze dusze, znalazł się nasz bohater znowu duchem w pokoju nadobnej Brazylianki, owszem, nawet w samym ognisku najsłabszych jej uczuć i myśli.

Uczucia te, „przez niego i dla niego tylko rozkwitłe,” stały teraz w pełnym kwieciu, rozwinięte wspaniale i rozrósłszy, dzięki onej bujności, która (obacz: X. Z. Chełmickiego „Brazylia.” — Warszawa, nakład *Słowa* 1892) jest tropikalnej, brazylijskiej roślinności właściwą. Niezawodna rzecz, iż w innej strefie i na mniej żyznej glebie byłby musiał jałowo zmarnieć afekt, na odległość kilkuset mil za sprawą telepatii i magnetyzmu wzniecony; tu jednakże, na tym dziewiczym gruncie, wystrzelił posiew ten cudo-zielem, kwiatem, do „Chryzantemu” Loti’ego podobnym, mistycznym kwiatem lotosu, którego zapach „upaja na śmierć, potem wskrzesza,” a jest ulubioną wonią światowładnego Brahmy i tchnieniem, wzbudzającym wszelki żywot na ziemi.

Dolores sądziła zrazu, że zbawca jej, którego obraz stał jej ciągle żywo przed oczyma, lada chwila przybieży zasięgnąć wiadomości o jej zdrowiu i upomnieć się o dank za dokonane ocalenie. Gdy jednak dnie mijały, a on nie przychodził, ogarnęły serce jej tęsknota

i niepokój. Czyżby sennem widzeniem tylko było to rozkoszne spojrzenie, w którym przesłał jej całą duszę? Czyliżby ją omamiły były zmysły, gdy, wpatrzona w jego ku niej zwrócone źrenice, ujrzała tam przepaść bezdenną, wypełnioną w tej chwili aż po brzegi bezmiarem zachwytu i niewysłowionego dla niej uwielbienia? Ale nie, to być nie może, bo skądżeby się wzięła ta burza szczęścia, która nad nią przewiała pod uparcie w nią wpatrzonem spojrzeniem dzielnego młodziana? skąd ten wiatr, który ją wtedy porwał i na zawrotnej jakiejś postawił wyżynie? skąd to tchnienie, całe z ognia i światłości, które ją wówczas ogarnęło, a wniknąwszy w jej duszę, dokonało w całym jej jestestwie tak dziwnego przeobrażenia, iż się uczuła całkiem inną i przebudzoną do nowego, przedtem nieprzeczonego życia?

Więc się w jej serce wcisnął żal do niego, że nie przychodzi, niedobry, podczas gdy ona płonie, ogniem jego owionięta, rozemdlona pragnieniem i tęsknotą; że nie przybywa „miesiąca i złodzieja śladem,“ by ukoić kwilące w niej smutki i trawiące ją niepokoje. I wyrzucała mu w duchu tę opieszałość, nie mogąc jej pogodzić z porywami własnego serca, ani też z tem gorącym pożądaniem, które niegdyś wyczytała w jego spojrzeniu.

Ale miłość, która tak wybornym jest adwokatem, iż wobec niej przegraćby musiał sprawę nawet taki mecenas, jak D-r Jan Maurycy Kamiński, wzięła naszego bohatera w obronę i wytłómaczyła rozżalonej kreolce, że dzielnego młodzieńca, co się tak głęboko wgryzł w jej serduszko, od pojawienia się w jej domu powstrzymywać musi skromność, „blondynom w białej kamizelce“ właściwa. Czyżby to nie wyglądało tak, jak gdyby przyszedł pochwalić się swem bohaterstwem i upomnieć o nagrodę za dochowane ocalenie? Nie, z pewnością tego nie robi żaden „blondyn w zawadyacko na tyle głowy osadzonym kapeluszu!...“

Z tem wszystkim... szkoda, że nie przychodzi! Coby to był za raj, gdyby przyszedł! Należałoby go ośmielić, ośmielić koniecznie! Uderzona tą myślą, pobięła Dolores do swej prababki i pośród pieszczot i wesołego szczebiotu poczęła jej tłómaczyć, iż godność domu i nazwiska wymaga tego nieodzownie, by we wszystkich dziennikach zamieszczono „publiczne podziękowanie“ dla nieznanego blondyna, który przed dziesięciu dniami na bulwarze Św. Magdaleny ocalił dwie zaprzęgiem *à la Daumont* jadące panie od niechybnej zguby. Już i tak spóźniono to podziękowanie ponad miarę godziwą. Wypada więc dla naprawy tej opie-

szałości dodać w odnośnem ogłoszeniu, iż panie te, mieszkające na Avenue d'Auteuil N. 12, pragnęłyby nieznanemu zbawcy swą wdzięczność osobiście wyrazić.

Tutaj pozwolę sobie zauważyć, jak wielce przebiegłą jest legendarna „nieświadomość ewiana,” celów swych zawsze świadoma i wiedząca każdej chwili, jaka droga najlepiej do nich prowadzi. Przewrotna ta nieświadomość, lub, jeśli kto woli, nieświadoma przewrotność, jest, jak owo w księgach *Eddy* drzewo Iggurasu, które jest równocześnie i sosną i ptakiem. Wynika stąd, że co do wiadomego rajskiego jabłka nie należy wyłącznie przypisywać winy zdradzie obłudnego węża i że pytanie, czy chytry wąż skusił niewinną Ewę, czy też przeciwnie, przewrotna Ewa skusiła dobrodusznego węża, musi pozostać nierozstrzygniętem.

Cokolwiekbądź, czy tu w grę wchodziła legendarna „nieświadomość ewiana,” czy też owa bezwiedna przewrotność, o którą znany filozof Nietzsche pomawia kobiety, dość na tem, iż dyplomatyczna akcja pięknej margrabianki osiągnęła zamierzony skutek. Niepodobna było zręczniejszą „kwestyi postawić,” jak to uczyniła nasza bohaterka. Jej Ekscelencya pani Maryna Grzędzianka stała się była z biegiem czasu i zmianą losów nadzwyczaj

dbałą o godność domu i nazwiska. Rodzony ojciec jej duchowy, pan Dygasiński, nie byłby jej poznał teraz, tak pełną była najwytworniejszego taktu i dystynkcyi. Więc też, przyznawszy słusność uwagom swej prawnuczki, kazała przywołać marszałka dworu i poleciła mu, by się zajął tą sprawą.

W chęci ubawienia swych chlebobawczyń, jął teraz marszałek opowiadać, iż zaraz naza-jutrz po znanej przygodzie na bulwarze Św. Magdaleny zjawił się u telopsu młody blondyn w granatowym *smokingu* i białej kamizelce, dopytując się o zdrowie margrabianki i twierdząc, iż to on właśnie dokonał dzieła ratunku. Nie dopuszczono go jednak do rozmowy, której się domagał, raz dlatego, że to się sprzeciwiało obowiązującemu regulaminowi domowemu, a powtórę, z przyczyny, iż się zdawał być oszustem lub waryatem. Przyznawszy bowiem, iż stale mieszka w Warszawie, utrzymywał z uporem, iż, siedząc w warszawskiej cukierni i ujrzawszy w polu elektro-telefotokopu to, co się działo na bulwarze, przerzucił się w mgnieniu oka skutkiem wysiłku woli do Paryża, gdzie przybył jeszcze w sam czas, by Jej Ekscelencyę i pannę margrabiankę ocalić.

Ciekawe opowiadanie to zajęło bardzo słuchaczów. Panią Marynę ubawiła wielce

pocieszna fantasmagorya maniaka; litośnie obłędem jego wzruszona, popadła Dolores w zadumę. Ale przytomna tej rozmowie guwernantka margrabianki, miss Maud Johnston, wtajemniczona w teozoficzne wierzenia, oświadczyła, iż to, co o sobie opowiadał blondyn w granatowym *smokingu* i białej kamizelce, jest zupełnie możliwem, że to musiało być oddzielenie się Lingi Szaryry od fizycznego ciała i że ten, który tego dokonać mógł, musi być Mahatmą, to jest człowiekiem, wyposażonym nadprzyrodzoną wiedzą i siłą. Twierdzenia jej dały powód do dłuższej rozmowy, w której miss Maud tak dalece zdołała przekonać swe słuchaczki, iż polecono marszałkowi, by, niezależnie od ogłoszeń w paryskich dziennikach, przesłał stosownie zredagowane podziękowanie do wszystkich czasopism w Warszawie.

W chwili, gdy Czarny Tulipan po przebyciu morza różanych świtów i liliowej woni wnikał w myśli i uczucia pięknej Brazylianki, marzyła Dolores, rozpamiętywając doznane przed chwilą wrażenia. A więc był, chciał ją zobaczyć, myślał o niej, niepokoił się o jej zdrowie! drogi, jedyny! Co za rozkosz być kochaną, kochaną przez wyższego człowieka, przez Mahatmę, wyposażonego nadprzyrodzoną wiedzą i siłą! Uczucie to napępniało ją

dumą i błogością. Myśli jej leciały ku niemu, tak, jak stado śnieżnych gołębi, gdy, kąpiąc się w słońcu, całe złote, lecą w dal do leśnej krynicy, by tam ukoić swoje pragnienie. Kiedyż go, kiedy zobacze? — szeptały jej usta.

— Jutro! jutro, mój biały aniele! — zawołał nasz bohater, ocuciwszy się z magnetycznego uśpienia. — Jutro już będę przy tobie, aby przy twoim boku rozpocząć nowe życie, i nic nas już odtąd nie rozdzieli, nic nie rozerwie naszych dusz zameźciał!

I pożegnawszy D-ra Ochorowicza, zdumionego tym pożarem uczuć, gorejących w stu pięćdziesięcioletnim sercu, powrócił śpiesznie do swego mieszkania, poczem, zabrawszy z sobą spakowaną już podróżną walizkę, udał się, pełen snów błogich, do przystani napowietrznych okrętów. W pół godziny potem unosił go olbrzymi balon, poruszający się za pomocą śmig, które w ruch wprowadzała maszyna o sile pięciu tysięcy elektrycznych koni, ku celowi jego podróży.

Ranek był, gdy balon, wiozący naszego bohatera, zarzucił kotwicę w paryskiej przystani napowietrznych latawców. Wylądowawszy, wskoczył Czarny Tulipan do elektrycznego omnibusu, który go wysadził w „Hotelu Continental,“ nieco zmęczonego całonocną

podróżą, a raczej może rozdrażnionego niecierpliwością i gorączkowym oczekiwaniem. Zastrzyknąwszy więc sobie odpowiednią dawkę *Vitaliny*, wykąpawszy się i poddawszy masażowi, spożył na prędce śniadanie, poczem, oblókłszy granatowy smoking i białą kamizelkę, które miały być świadectwem jego tożsamości, przywołał elektryczną dorożkę i kazał się zawieźć na Avenue d'Auteuil Nr 12.—W pałacowej bramie spotkał marszałka domu pani Grzędzianki.

— Pan tu?—zawołał z niedowierzaniem Francuz, poznawszy naszego—bohatera. Właśnie powracam z biura anonsów, za którego pośrednictwem wysłałem do warszawskich dzienników „podziękowanie“ mej chlebobawczyni.

— Wiedziałem o tem — rzekł nasz bohater z uśmiechem — i dlatego właśnie przybywam.

— Pa... pa... pan wiedziałeś! — wybełkotał marszałek, lękiem zdjęty, wpatrując się w mówiącego szeroko rozwartemi, zdziwionemi oczyma.

Jeżeli w głębi duszy żywił jeszcze wątpliwość jakąś co do zapewnienia Angielki, to wątpliwość ta rozwiała się teraz najzupełniej.

— Jaśnie panie! — dodał po chwili głosem drżącym od lęku i zakłopotania, — niech mi pan raczy wybaczyć, że, powodując się domowym regulaminem, nie uczyniłem przed dziesięciu dniami zadość jego żądaniu, ale istotnie nie wiedziałem, z kim mam do czynienia...

— Nic nie szkodzi, kochany panie! — odparł Czarny Tulipan, klepiąc go poufale po ramieniu. — Nie gniewam się wcale; owszem, muszę pana pochwalić! Wszak nie mogłeś działać inaczej, skoro ci tak postąpić nakazywał obowiązek. A teraz — dodał z uprzejmym uśmiechem — zechciej pan zawiadomić Jej Ekscellencyę, że Czarny Tulipan z Warszawy stawia się na jej rozkazy.

Marszałek zgiął się w pas na znak, że go-tów jest wykonać to zlecenie.

— Jej Ekscellencya przyjmuje właśnie o tej porze — rzekł, wskazując gościowi wykwintnym ruchem dłoni przepyszne marmurowe schody, których strzegło dwóch olbrzymich brązowych Nubijczyków, trzymających w ręku pochodnie, służące prawdopodobnie do oświetlenia schodowej klatki.

I postępując za nim w służbistej odległości, zawiódł go do wspaniałego atrium, znajdującego się na pierwszym piętrze. Dwóch sążnistych murzynów wybiegło na ich spotka-

nie. Byli to ci sami, którzy w dniu pamiętnej przygody z elektrowozem towarzyszyli margrabiance i jej prababce w przejażdżce po bulwarze. Spostrzegłszy naszego bohatera, padli obydwaj na kolana, szepcząc głosem drżącym od wzruszenia: „M’buana Kuba! M’buana Kuba!” — Widocznie poznali byli w przybywającym gościu młodzieńca z bulwaru, który im ocalił życie.

Czarny Tulipan powitał ich łaskawem skinieniem głowy i uśmiechem, poczem, przeszedłszy kilka salonów, umeblowanych z wielkim przepychem, znalazł się w przybytku, gdzie się odbywało *five o’clock* gospodyni domu.

— *Sa Grace Monsieur Charny Toulipane de Varsovie!* — oznajmił portugalskim obyczajem marszałek, otwierając podwoje szeroko.

— Ach! — zawołały jednocześnie pani Maryna i jej prawnuczka, spostrzegłszy wchodzącego.

I one także poznały w nim zaraz z pierwszego wejrzenia swego zbawcę. Stał przed niemi rzeczywisty, autentyczny, uśmiechający się z wdziękiem blondyn w granatowym smokingu i białej kamizelce. Legenda o fantastycznej naturze jego osobistości, która przed chwilą stanowiła przedmiot ich rozmowy, rozwinęła się na widok ten w ich umyśle.

— Dowiedziawszy się, że Wasza Ekscylencya pragnie mnie widzieć—rzekł nasz bohater z wikwintnym ukłonem i uśmiechem,—stawiam się na jej rozkazy.

— Ach, rozkazy!—zaprotestowała z uprzejmą skwapliwością pani Maryna, powstając z kanapy i podając mu rękę do powitalnego uścisku. — Zbyt łaskawie się pan wyrażasz, istotnie!... Pragnęłyśmy z moją prawnuczką, margrabianką Dolores di San Hablo—tak mówiła dalej, wskazując ruchem głowy zapaloną kreolkę, — wyrazić panu osobiście wdzięczność za ocalenie naszego życia... Miss Maud Johnston, wychowawczyni mojej prawnuczki—dodała, uzupełniając prezentację. — Niechże pan raczy usiąść, proszę. Jakże szczęśliwe jesteśmy, że możemy powitać naszego zbawcę!

— Nie zasługuję istotnie na tyle łaski—odparł z wielką szczerością młodzian.—To, co uczyniłem, było, co się mnie tyczy, tak koniecznem, tak bezwiednem, że nie mogę sobie rościć prawa do zasługi. Zdaje mi się, że nie byłbym tego przeżył, gdyby się było stało inaczej — dodał szeptem prawie, oblewając kreolkę spojrzeniem, pełnem niewysłowionej miłości.

Powiedział to z wyrazem tak głębokiego uczucia, że niepodobna było wątpić o szczero-

ści jego słów. Wiatr płomienny, który od niego szedł, powiał po słuchających go kobietach. Wszystkie trzy zadrżały pod wrażeniem tego, co powiedział.

— Dolores, moje dziecko, podaj panu herbaty — rzekła gospodyni, spostrzegłszy wzruszenie swej prawnuczki. — Skądże pan przybywa?—dorzuciła, aby coś powiedzieć.

— Z Warszawy.

— Z Warszawy?—powtórzyła zdziwiona, wpatrując się w niego szeroko rozwartymi oczyma.

Słowa jego przypomniały jej teraz dopiero legendę, którą opowiadał marszałek.

— Tak jest, z Warszawy — odparł nasz bohater.—Przyjechałem tu dzisiejszym Occident-Express-balonem... Dowiedziawszy się, że panie pragną mnie widzieć, wsiałem do balonu, i oto jestem!

— Kiedyż się pan o tem dowiedział, że radebyśmy cię zabaczyć?

— Wczoraj, o tej porze.

— Wczo...raj? o tej po...rze?... I któż panu powiedział?

Młodzieniec uśmiechnął się, widząc zdziwienie swych słuchaczek.

— Byłem tu wczoraj duchem — odrzekł, rozglądając się po salonie, — ale nie w tym

pokoju, w innym, gdzie były obicia jedwabne *bouton d'or*...

— Buduar babci! — szepnęła margrabianka.

— I słyszałem polecenie, które Wasza Ekscellencya wydała marszałkowi domu — dokończył nasz bohater.

— Cie wy, ludzie, co się dzieje! — zawołała po polsku pani Maryna Grzędzianka, nie mogąc wobec podziwu, który ją ogarnął, powstrzymać tego okrzyku serca, zdradzającego jej plebejuszowskie pochodzenie.

— *It is a Mahatma! It is a Mahatma!* — przytwardziła z brytańską żarliwością Angielka, widząca w tem, co powiedział młodzieniec, je-no fakt, udowadniający religijno-filozoficzną tezę, do której apostołowania czuła się powołaną.

Z bezmierną czułością w naszego bohatera wpatrzona, milczała Dolores, uśmiechając się do myśli, które w tej chwili przędła jej główka. Nie było tam miejsca na podziw, ani na teozofię; pod wpływem tego, co powiedział młodzieniec, inne ją opanowały uczucia, napęlniając serce jej lubością. Przyszło jej na myśl, że wczoraj przez cały czas rozmowy marszałka z jej prababką czuła się nad wszelki wyraz szczęśliwą, i zadawała sobie pytanie, żali to

nie przecucie, iż przy niej tuż blisko znajduje się duch tego, któremu serce oddała, upajało ją taką błogością. Bohater nasz odgadł myśli uroczego dziewczęcia.

— Nie pierwszy to raz byłem wczoraj duchem w tym domu—rzekł głosem dźwięcznym, w którym tętniła tkliwość bezmierna. — Zaraz nazajutrz po przygodzie na bulwarze byłem tu, w pokoju, gdzie między dwiema palmami wisiał hamak...

— To moja paryska Brazylia! moje podróże Buenos Ayres!—zawołała, płoniąc się, dziewczyna.

— Pani kołysałaś się w tym hamaku, słuchając nokturnu Chopina, który rozbrzmiewał z wnętrza fonografu, i marząc... — ciągnął Czarny Tulipan dalej.

— Istotnie, tak było — rzekła margrabianka głosem, drżącym od wzruszenia.

— Cie wy, ludzie, co się dzieje! co się dzieje! — wybuchnęła znowu pani Maryna. — Musi to chyba wciorności...

— Ależ, babciu! — przerwała skwapliwie margrabianka, zatykając jej usta pocałunkiem.

I zwróciwszy się zarumieniona do naszego bohatera, rzekła najczystsą polszczyzną:

— Babcia zapomniała już po polsku i wyraża się czasami, jak chłopci polscy, pracujący w naszych haziendach.

Mówiła to tonem głębokiego przekonania, nie znając przeszłości swej prababki.

— *It is a Mahatma! It is a Mahatma!* — powtarzała Angielka w zachwycie.

Rozmowę tę przerwało wejście nowych gości. Pomimo swych plebejuszowskich niekiedy wybuchów i szwankującej polszczyzny, miała pani Maryna zbyt wiele taktu, by narażić naszego bohatera na ciekawość obojętnych próżniaków, więc też, nie wspominając nic o tajemniczej przygodzie, w której Czarny Tulipan odegrał rolę tak znakomitą, ani o fantastycznym „szurum-burum,” otaczającem jego osobę, przedstawiła go swym gościom „po prostu” jako rodaka i przyjaciela swego domu. Margrabianka i Angielka pośpieszyły do samowaru celem przygotowania herbaty dla przybywających co chwila osób. Bohater nasz, korzystając z tego zdarzenia, podążył niebawem za nimi, aż nadto wytłómaczony niemożliwością wzięcia udziału w toczącej się rozmowie, której przedmiotem byli nieznani mu ludzie i stosunki.

Tutaj miałbym wyborne pole do odtworzenia rzecudnej salonowej idylli, rozgrywającej

się tak, jak w powieści Estei, na tle marmurów, posągów, malowideł, zwierciadeł, bronzów egzotycznych kwiatów, kobierców, japońskich parawaników i t. d., w atmosferze, przesyconej zapachem *Crab-Apple'u* i *Violettes de Parme*. Zaiście wdzięcznem dla powieściopisarza zadaniem byłoby powtórzenie rozmowy dwojga zakochanych, flirtujących w tem otoczeniu pod tajemniczy szum srebrnego samowaru i w obecności angielskiej *duegny*, podczas gdy tuż niedaleko szemrzą jedwabie, rozbrzmiewają śmiechy i wre powódź jałowej, wielkoświatowej paplanki!

Dokoła nich szumi świat Dekameronu, otaczając ich zgiełkiem swym i gwarem, który po nich spływa, nie wnikając wcale do ich umysłu,—tak dokładnie wyodrębnili się z pośród swego otoczenia, tak szczelnie zamknęli w swojej miłości, tworząc we dwoje świat cały dla siebie. Rozmowa ich snuje się wiotka, tak, jak przedza babiego lata; spływają z ust ich na pozór obojętne i nic nie znaczące wyrazy, bo cała waga odbywającej się pomiędzy nimi wymiany uczuć i myśli leży w drzeniu ich głosu, zdradzającym ich wzruszenie, w tem spojrzeniu, którem pieszczą przedmiot ukochany, w tym uśmiechu, który mówi to, czego by może nawet wypowiedzieć nie zdołały usta.

Wszelakoż autor, pragnący oddać taką scenę z całą wiernością właściwego jej kolorytu, mógłby to jeno uczynić, licząc na wielki zasób dopełniającej wyobraźni u czytelnika, na zdolność odczuwania subtelnych półtonów i półcieni, o co bardzo trudno wogóle, a zwłaszcza już wpośród naszego do grubej roboty przyzwyczajonego czytelnictwa, które od długich lat nauczyło się zwracać uwagę nie na „jak,” lecz na „co” fabuły. Więc też, nie tworząc nic z materiału, który mam pod ręką, powiem wprost, że nasz bohater i margrabianka wyszli z tej pierwszej rozmowy upojeni, szczęśliwi, pełni ufności w wzajemność ożywiającego serca ich uczucia, jakkolwiek z ust żadnego z nich nie padło słowo jedno, mówiące o kochaniu.

Rozpoczęło się teraz dla nich życie, któreby nazwać można rajskim snem na jawie,—tak pełnem było ono słodkich upojen i uśmiechów. Czarny Tulipan bywał codziennie w pałacu, niecierpliwie oczekiwany przez margrabiankę, mile witany przez jej prababkę, która, widząc żywość uczucia, jakim dla siebie wzajem pałali zakochani, postanowiła naturalnemu rozwojowi tego uczucia nie przeciwstawiać żadnej przeszkody. Nawet i ją upajał widok tej miłości, którym się czuła odmłodzoną, niby

technieniem świeżego majowego poranku, gdy zapuka do okienka duszy uśmiechami słońca, wesołym hejnałem ptaszków, rozbrzmiewającym w gęstwinie, gędzeniem muszek, tańczących w słonecznym promieniu, i zapachem bzu lub świeżo rozkwitłych jabłoni.

Mimouczonych wykładów żarliwej Angielki, która starała się jej wytłómaczyć tajemnice Kama Rupy i Lingi Szaryry, nie zajmowała wprawdzie pani Maryna, jakim cudem stać się to mogło, iż dzielny blondyn, ujrzawszy w polu elektro-telefotoskopu niebezpieczeństwo, grożące jej prawnuczce, mógł się w jednej chwili przerzucić z Warszawy do Paryża, by tam dokonać dzieła ratunku; lecz, co prawda, nie zajmowało jej wcale rozwiązanie tej zagadki, zwłaszcza wobec oczywistości zdarzenia, wykluczającej wszelkie powątpiewanie. Dla niej było cudowne telepatyczne zjawisko, któremu wraz z margrabianką zawdzięczała ocalenie, tylko dowodem bezmiernej miłości dzielnego blondyna dla jej prawnuczki, — bo inaczej... czyżby zdołał być dokonać tego cudu?

Myśl ta czarowała ją i roztkliwiała zarazem. Jakże wielką musi być potęga tego uczucia, skoro uczyniła możliwem uskutecznienie tak nadzwyczajnego dzieła! Zdaniem jej jednoczył w sobie Czarny Tulipan wszystkie zalety,

jakich pragnęła, by je przyszedł mąż jej ukochanego dziecięcia posiadał. Był przystojny, w zachowaniu się swoim wytworny, wesoły i dowcipny w rozmowie. Postępowanie jego w wiadomej przygodzie świadczyło chlubnie o dzielności jego i bystrości umysłu. A wreszcie kochał i był kochanym,—to wystarczało zupełnie. Wobec miliardów margrabianki nie wchodziła tu oczywiście w rachunek, kwestya majątku czy golizny; a tak samo nie przeważała szali na jego niekorzyść różnica wieku, do której się z całą ostrożnością przyznał nasz bohater, gdyż, jak wiadomo, w tych szczęśliwych czasach séquardina zabezpieczała ludziom młodość wiekuistą i nieśmiertelność.

Więc też, gdy Czarny Tulipan po kilku dniach oświadczył się pani Marynie o rękę i pięknej margrabianki przyjęła pani ta wyznanie naszego bohatera z wielką uciechą, zapewniając go, iż związek ten spełni najgorętsze życzenia, nie tylko jej własnego serca, ale i serca jej prawnuczki, której uczucia są jej dokładnie znane. Zastrzegła jednak, iż przed urzędowem ogłoszeniem przyjęcia tak zaszczytnych dla domu jej oświadczyn jego musi dla dopełnienia wszelkich formalności zasięgnąć przyzwolenia pana Adolfa Dygasińskiego który, będąc jej duchowym ojcem, jest rodzo-

nym pra-pradziadkiem margrabianki di San Hablo i, jako taki, głową rodziny. Bohater nasz nie posiadał się z radości, usłyszawszy, iż los jego zależy już tylko od tego, co powie pan Dygasiński; jakkolwiek bowiem w ciągu swego publicystycznego zawodu darł niejednokrotnie polemiczne koty z tym pisarzem, to jednakże znał go, jako dobrego kolegę, i wiedział, iż szczęściu „brata-literata“ nie będzie stawiał żadnej przeszkody.

Gdy jednakże z Warszawy do Lwowa nadeszła „sensacyjna wiadomość,“ że goły literat warszawski żeni się z miliardową Brazylianką i że pan Dygasiński, jako duchowy pra-pradziad tej polskiej kreolki, nie tylko zezwolił na związek Czarnego Tulipana z margrabianką Dolores di San Hablo, lecz nadto przesłał młodej parze swe telegraficzne i pra-pradziadowskie błogosławieństwo, zakipiał w sercu Niezabudki jad nienawiści i nieubłaganej srogości. Nie zwlekając chwili, pośpieszyła koleją łyżwową do Paryża w nadziei, iż tam w czas jeszcze przybędzie, by unicestwić zamiary naszego bohatera, „pakując mu patyki między osie“ (*en lui fourrant des bâtons dans les roues*. Styl Estei).

Jakoż, przybywszy tam wczesnym rankiem, udała się natychmiast do pałacu na *Avenue*

d'Auteuil, gdzie pod pozorem, iż przychodzi ważne uczynić zeznania, łatwo uzyskała posłuchanie. Można sobie wyobrazić, jak tam przedstawiła Czarnego Tulipana, stwierdzając swe oskarżenia kopiami pozwu i wyroku, które z sobą przywiozła. Zgrozą przejęta, postanowiła pani Maryna zerwać natychmiast wszelkie stosunki z tak niebezpiecznym człowiekiem. Prawdę powiedziawszy, słabą rękojmię szczęścia dawał swej przyszłej żonie lekkoduch, który posuwał zalotność aż do bałamucenia automatycznej syreny, a wymawiał się od dopełnienia przyjętych zobowiązań oświadczeniem, iż w gruncie rzeczy jest już nieboszczykiem...

Więc też, gdy nasz bohater z uderzeniem pierwszej godziny, tak, jak to zwykł był czynić co dnia, zjawił się w pałacu pani Maryny, odprawiła go służba, niby osobę całkiem obojętną, z kwitkiem, oświadczając mu, że Jej Ekscellencya nie jest dla niego widzialną i bardzo go za to przeprasza. Zdziwiony i zaniepokojony, kazał przywołać marszałka i zażądał wyjaśnień. Ten jednakże, „wykonywując kurczem mięśni twarzowych brzydki akt szyderczego uśmiechu,” oznajmił mu „z całą wyniosłością upudrowanego *majordomusa* w czarnych jedwabnych pończochach i trzewikach ze złotymi

klamrami," iż takim jest rzeczywiście zarządzenie Jej Ekscellencyi, dotyczące jego osoby, i że przeto najroztropniej uczyni, oszczędzając sobie w przyszłości niepotrzebnego trudu, gdyż pani Maryna Grzędzianka i jej prawnuczka nie życzą sobie jego odwiedzin.

Spiorunowany tem oświadczeniem, opuścił Czarny Tulipan wspaniały przedsiónek pałacu. W głowie mu się pomieścić nie mogło, co z ust marszałka usłyszał. Był jak ten, któremu w czystem polu, o milę od wszelkiego dachu, spadła na głowę dachówka. Jakiż miałżeby się wyrzec tego szczęścia, którego wczoraj jeszcze był tak blisko? Wszak właśnie przed trzema dniami nadeszło telegraficzne błogosławieństwo pra-pradziadka Dygasińskiego, przyznające mu wobec całego świata urzędowy niejako charakter narzeczonego margrabianki! Wszakże dzień dzisiejszy miał być właśnie dniem jego zaręczyn! Cóż się stało? Co mogło spowodować zwrot tak niespodziewany? Czyżby tak zmiennem było jego drugie „ja," które tak gorącem wczoraj jeszcze zdawało się płonąć dla niego uczuciem?

Wszystkie te zapytania przesunęły się kolejno w jego umyśle, ale na żadne z nich nie znalazł odpowiedzi. Udręczony niepewnością, wskoczył do elektrycznej dorożki, kazał się

zawieźć do centralnego biura magnetycznych połączeń i zażądał, by go z margrabianką Dolores di San Hablo wprowadzono w duchowy związek. Zapytano go o nazwisko, a gdy je wymienił, odmówiono mu posługi. Mógł być to z góry przewidzieć. Pragnąc panią Marynę upewnić, że nie ma z „wściornościami“ żadnych stosunków, wyjawił jej był tajemnicę swych „duchowych odwiedzin“ w jej pałacu,—nic więc dziwnego, że przezorna baba, zamierzając zerwać dalsze z nim stosunki, zapobiegła „duchowemu powrotowi“ cielesnie wyćwiczonego konkurenta.

Złamany tem nowem niepowodzeniem, które go czyniło bezradnym i bezsilnym wobec walących się na niego ciężarów, opuścił nasz bohater biuro magnetycznych połączeń, pełen smutku i goryczy. Z ciężkiej zadumy, w którą się był pograżył, zbudził go śmiech szyderczy, rozbrzmiewający fałszywym dyskantem w schodowej klatce. Zaciekawiony, zwrócił oczy w tę stronę. To była Niezabudka, która, widząc znękanie, malujące się na jego twarzy, nie mogła utaić swej uciechy. Czarny Tulipan zrozumiał teraz, kto był sprawcą jego niedoli. Tryumfem nieprzebląganego wroga swego upokorzony, a poczuciem własnej bezsilności zrozpa-

czony, powlókł się chwiejnym krokiem ku domowi.

Wszelakoż przedwczesnym był tryumf zawziętej wdowy i przedwczesną także rozpacz naszego bohatera. Oboje zamknęli byli swe rachunki, nie wciągawszy w obliczenie trzech nader ważnych czynników, a mianowicie: znanej nam już bujności, która jest zaletą brazylijskiej wegetacyi,—„ewianej nieświadomości,“ która, jakśmy zauważyli, zawsze jest swych celów świadomą i w każdej chwili wie, jaka droga do nich najlepiej i najszybciej prowadzi,—a wreszcie bohaterskiej donkiszoteryi, właściwej dziewicom Albionu, ilekroć w grę wchodzi religijna lub filozoficzna ich żarliwość. Trzy te czynniki, współdziałając w ustawionem przez Niezabudkę zrównaniu, zmieniły z gruntu, podstawowo, jego stosunki i spowodowały wynik, którego się nie spodziewał Czarny Tulipan, ani też zapamiętała jego prześladowczyni.

Zdziwił się też bardzo nasz bohater, gdy do jego pokoju weszła szczelnie gęstą woalką osłonięta Miss Maud i głosem drżącym od głębokiego wzruszenia oświadczyła mu, iż margrabianka Dolores, nie wierząc oszczerstwom podłej jego gnębicielki, nie zmieniła wcale

żywych swych uczuć względem jego osoby, że, szczerą a gorącą powodowana miłością, postanowiła uciec z nim dzisiejszej nocy i że nakoniec ona, Miss Maud Johnston, córka pastora z Derbyshire, a wyznawczyni buddhaistycznej teozofii, czując się w obowiązku służenia wielkiemu Mahatmie i Nizmanakai, przygotowała wspólnie ze swą znajomą, Mistres Arabellą Young, bogatą Amerykanką i jednym z głównych filarów buddhaistycznej sekty, wszystko, co potrzeba, by kochankowie, uciekwszy dzisiejszej nocy, mogli do czasu ukryć przed zawistnem okiem swoje szczęście. To był właśnie niespodziewany, a jednak konieczny wynik współdziałania brazylijskiej wegetacyjnej bujności, „nieświadomości ewianej“ i ekscentrycznego angielskiego donkiszotyzmu.

Tutaj muszę prosić łaskawych mych czytelników, by sobie raczyli wyobrazić trzydziestosześcioletnią, jasnooką angielską miss, wchodzącą do pokoju kawalera, mieszkającego w hotelu, a pomawianego o to, iż skłonny jest do romansowania nawet z automatyczną syreną. I niechaj sobie wyobrażą tę *extra dry* zamarynowaną cnotę, wstępującą do jaskini lwa,—i tę, bądź-cò-bądź, w tajemnej głębi serca szepczącą obawę: „a nuż ten lew pokąsa!“—i to z myśli tej płynące zakłopotanie,—i to

przeświadczenie, iż to, co czyni, sprzeciwia się zasadom wszelkiej *respectability*, przestrzeganej dotychczas z taką lękliwą skrupulatnością przez trzydzieści sześć lat niepokalanej czystości,—i ten głos sumienia, huczący gdzieś na dnie załęcznionej duszy: *Oh, shocking, Miss Maud, shocking, shocking, shocking!* I niechaj sobie jeszcze wyobrażą tę postać chudą, przygarbioną w tej chwili poczuciem winy, drżącą od lęku i wzruszenia, szczelnie zakopertowaną w kraciastej sukni,—i ten rumieniec wstydu, płonący pod gęstą woalką, — i te na dół spuszczone oczy, — i ten głos złamany, wydobywający się ze świstem z zapadłej piersi!

Tenbowiem tylko, który to wszystko zdoła sobie wyobrazić, ten jedynie zdolny jest pojąć ogrom bohaterstwa, którego dzielna Angielka składała w chwili tej dowód tak niezbity, poświęcając się dla sprawy przyjaźni i buddhאי-stycznej teozofii.

Było to zjawisko bez wątpienia nader komiczne, ale Czarny Tulipan nie zauważył wcale jego śmieszności, przejęty czcią i wdzięcznością dla bohaterskiej córki Albionu, będącej dla niego aniołem-pocieszycielem i zwiastunką dobrej wieści. Postanowiono, iż bohater nasz podleci balonem lub „nietoperzem Adera“ tego samego dnia, o godzinie drugiej

po północy, pod trzecie po lewej stronie okno na pierwszym piętrze w pałacu pani Maryny, porwie stojącą w otwartym oknie margrabiankę i uniesie ją do Marsylii, gdzie na nich czeka Mistres Arabella Young, która ich swym podwodnym jachtem do swej podziemnej willi, znajdującej się na jednej z koralowych wysp Spokojnego Oceanu, przewiezie.

Uszczęśliwiony, pośpieszył Czarny Tulipan do jednego z najślawniejszych mechaników paryskich i nabył po krótkim targu wspaniałą ptero-stat o sile dwudziestu pięciu koni parowych, mogący snadnie udźwignąć dwie osoby, a poruszający się z szybkością do stu kilometrów na godzinę. Jak samo już wskazuje nazwisko, był to olbrzymi latawiec w kształcie ptaka, którego potężnymi, z grubej, nieprzemakalnej, jedwabnej materii sporządzonemi skrzydłami poruszał, z szybkością trzech uderzeń na sekundę, nader prosty w swej budowie system tłoków, kół, walców i lewarów, wprawiany w ruch działaniem gazów, wytwarzających się skutkiem wybuchu drobnych dynamitowych kulek, eksplodujących w dowolnych odstępach w łonie silnego cylindra z aluminiowej stali. Nic piękniejszego i dowcipniejszego nad przyrząd ten, wymyślony pod koniec XIX wieku przez naszego rodaka,

sławnego mechanika, Ostoję! Obznajomiwszy się z właściwościami swego latawca i kazawszy go zaopatrzyć we wszystko, co dla odbycia dalszej podróży mogło mu być potrzebne, podleciał nasz bohater o porze umówionej pod okna swej bogdanki, porwał ją i uniósł szybkim pędem w przestrzeń ciemną, tajemniczą i rozwidnioną tylko bladym światłem gwiazd, migających życzliwie.

Zapożyczywszy się u kuzynka mego, Ariosta, mógłbym tutaj nakreślić obraz precudny, odtwarzając żywcem ową scenę z Orlanda, gdy Ruggieri, unosząc swą bogdanke na grzbiecie skrzydlatego i ogniem zięjącego smoka, „*si va volgendo o mille bacci, figgele nel petto e nei occhi vivaci*,”—ale *Kraj*, jako dobry anioł, broni mnie od tej renesansowej pokusy. Tak jest, *noblesse oblige!* Niechaj nie będzie powiedziane, iż muza moja, o której twierdzi organ nadnewski, iż „jest po anielsku i czystą i świętą“ (!?), pokazała się kiedykolwiek w *cinqcento*’wskim negliżu! Nie tworząc tedy żadnych zdrożności i precz od siebie (a kyszl a kyszl) odpędziwszy psotne chochliki, powiem wprost i bez korowodów, iż bohater nasz, obawiając się pościgu i pilnem badaniem mapy oraz kierowaniem swego latawca zajęty, nie miał czasu na żadne ekstemporacye.

Tymczasem weszło z różowych pieluch słońce i, jakby na to, by lecącym ku swemu szczęściu kochankom pokazać, jak pięknem jest to życie, które się dla nich otwiera, jeło złościć świat cały swoim wesołym uśmiechem. Z ogrodów, ponad którymi przelatywali, wzbijały się ku nim kwitnących lip zapachy; kiedy-niekiedy podlatywał ku nim skowronek, wydzwaniając swój różaniec arfiany. I zdawało się błękitami płynącym, że z tych chorałów, z tych zapachów, z tych barw, z tych uśmiechów wzbija się ku nim głos jeden, mówiący: „Dla was, dziateczki, szczęście! dla was uciechy! Patrzcie, jaki cacany jest ten świat dokoła, jak rozkosznem to życie, które wam się uśmiecha!...”

Wreszcie zarysowała się na dalekim krańcu widnokładu błękitna smuga morza, i miało, wyzłocone słońca uśmiechem, i las okrętowych masztów o różnobarwnych flagach. To była Marsylia, gdzie kochankowie nasi na gościnnym jachcie amerykańskiej buddhystki mieli znaleźć czasowe schronienie. Bohater nasz zwolnił teraz lot swego ptaka-korabia, i pławiąc się nad przystanią, zawieszony w błękitach, niby jastrząb, co wypatruje swą pastwę, jął szukać między stojącymi na kotwicy okrętami „Nautilusa“ (tak się nazywał jacht amerykan-

ki). Nie trudno było go poznać po świecących jego aluminiowych burtach, po złoconych rzeźbach, zrąb jego zdobiących, i po gwiazdami zasianej amerykańskiej banderze. Czarny Tulipan zwrócił ku niemu lot swego latawca, i stanąwszy niebawem na pokładzie okrętu, lekko, tak jak motyl, gdy na róży usiada, ze znaną już zręcznością „blondyna w białej kamizelce...” wysadził z ptero-statą swą narzeczoną.

Mistres Arabella wyszła na spotkanie spadłych z nieba gości. Była to słuszna i z kwakerską skromnością ubrana czterdziestoletnia może kobieta, o ascetycznie bladym licu i błędnym nieco spojrzeniu. Na pierwszy rzut oka poznać w niej było można purytankę i zelotkę. Ze złożonymi na piersiach rękami oddała naszemu bohaterowi pokłon głęboki, pełen onej miłosnej czci, z jaką się każdy buddhysta zbliżać zwykł do Nizmanakai, który jest przedstawicielem Buddhy, owszem, nawet żywym Buddhą na ziemi. Wyraziwszy radość swą, iż raczył ją uszczęśliwić, przyjmując jej usługi, oświadczyła mu, iż przeznaczyła dla niego osobną kajutę, gdzie w samotności będzie się mógł swobodnie oddawać rozmyślaniu i pobożnym ćwiczeniom, — poczem, uściskawszy margrabiankę, oznajmiła, iż ją razem z sobą pomieści w kajucie, uszczęśliwiona, iż może matko-

wać narzeczonej „wysokiego ducha“ aż do chwili, gdy duch ten, wedle buddhaistycznego rytuału, z oblubienicą swoją połączony, nie spocznie w podziemnem gniazdeczku, które dla nowożeńców przygotowane zostało na mieszkanie. Zarządzenia te nie bardzo przypadły do smaku zakochanym; jednakże, „wdepnąwszy“ raz w teozofię, trzeba było przyjąć wszystkie „piły“, należące do jej inwentarza.

Po śniadaniu, podczas którego ułożono plan odbyć się mającej podróży, odbił „Nautilus“ od brzegu, a że dzień był pogodny i morze spokojne, jak malowany baranek, przeto postanowiono nie zatapiać okrętu, lecz płynąć po wierzchu gładkiego wód zwierciadła, korzystając z tej cudnej pogody, która w duszę podróżnych wnikała uśmiechami bezchmurnego nieba i lekkiego wietrzyku pieśczołą. Pruł tedy okręt modre tonie wesoło, tak jak srebrna płotka, gdy, wynurzywszy się z odmetu, sunie po powierzchni jeziora tak lekko, iż jej bujanie zdaje się być tańcem i swawolą. Czarny Tulipan milczał, marząc o tej czarze rozkoszy, która była już ust jego tak blisko, a którą od nich znowu na czas jakiś odsunęła fatalna teozofia. Miss Arabella rozmawiała z margrabianką półgłosem, szanując milczenie wielkiego

ducha, o którym była przekonana, iż się pogрузił w rozmyślaniach o Nirwanie.

Nagle zasygnalizowano balon lecący w tę stronę, a zdający się gonić „Nautilusa.“ Była to „La Granda Blaga,“ aerostat pani Maryny Grzędzianki. Potwór zbliżał się coraz bardziej, pruł przestrzeń z niezmierną szybkością, przesyłając jachtowi za pomocą flag podnoszonych, to spuszcanych co chwila, wezwanie, ażeby bieg zatrzymał. Nie było wątpliwem, iż „La Granda Blaga“ ściga zakochanych zbiegów. Bohater nasz zwrócił lornetkę w stronę balonu, i rozpoznał dokładnie w jego łodzi panią Marynę, jakiegoś mężczyznę, przepasanego trójkolorową szarfą i zaperzoną Niezabudkę, która wymachując rękami, dawała jakieś znaki kierownikowi aerostatu i zdawała się być wodzem tej wyprawy. Po chwili ozwał się z balonu głos przez tubę przemawiający:

— W imieniu prawa, wzywa francuski komisarz policyi morskiej w Marsylii, kapitan jachtu amerykańskiego „Nautilus,“ aby statek swój zatrzymał i wydał zbiegów znajdujących się na jego pokładzie!

Polegając na doktrynie Monroe, która europejskim mocarstwom nie przyznaje prawa interwencji w amerykańskie sprawy, postanowił kapitan „Nautilusa“ nie zważać na to

wezwanie. Zdaniem jego najlepszą odpowiedzią na nie było wysłanie kuli, która, dziurawiąc balon, uwolniłaby zbiegów od pościgu. Ale Mistres Arabella, ani też zakochani nie chcieli zgodzić się na pogląd morskiego wilka. Aby więc uniknąć międzynarodowej poswarki i połączonych z nią przykrości, schronili się podróżni pod pokład okrętu. Poczem zamknięto szczelnie wszystkie zawory i dzielny „Nautilus” zanurzył się w morskie otchłanie, udaremniając dalszy pościg swych prześladowców.

Zanurzony w oną głęb tajemniczą, gdzie się już nie daje odczuwać falowanie morskiej powierzchni, a panuje tylko wiekuisty mrok i cisza, prul „Nautilus” wodne przestworza, rozwidniając sobie drogę dwoma potężnymi elektrycznymi latarniami, których jaskrawe światło budziło podziw gąbek, alg, nautilów, amonitów i holastrów, zamieszkujących te sfery, a nieprzyzwyczajonych do tego widoku. Kiedy niekiedy tylko wynurzał się statek nasz z niezgłębionej topieli i zawijał do jakiejś przystani, by olbrzymie swe kumulatory zasilić nowym ładunkiem elektryczności i zaopatrzyć się w świeży zapas zgęszczonego powietrza.

Nie wesołą tedy dla zakochanych była ta podróż przedślubna. Byli tak blisko siebie i rozsadzały jedno z nich wiadoma bujność,

brazylijskiej roślinności właściwa, drugie zaś ów żar młodzieńczy, jakim gorzała krew jego pod wpływem poczwórnej dawki skoncentrowanej *Vitaliny*, a jednak tłumić w sobie musieli ogień, który ich trawił, i tęsknotę, która ich rwała ku sobie, ze względu na poszanowanie, winne dla buddhaistycznej teozofii swej gospodyni. Więc też ciężyło im tem bardziej to zamknięcie w łonie zanurzonego w wodę okrętu i ten brak wszelkich wrażeń, rzucający ich na pastwę własnych myśli. Wszelako dla zatarcia śladów i utrudnienia możliwego pościgu, musieli się zgodzić i z tym niemiłym przymusem.

Przezorność ta była konieczną; w Aden bowiem, gdzie się dla odświeżenia zapasów statek na kilka godzin zatrzymał, dowiedziano się, iż „La Grande Blaga,” aerostat pani Maryny, wylądowawszy w Malcie i zaopatrzyszy się w wodór do wzlotu potrzebny, odleciał w kierunku afrykańskiego wybrzeża. Wido-cznem tedy było, że wyprawa, kierowana przez mściwą Niezabudkę, nie zaniechała pościgu, i że się znajduje na tropie zbiegów. A że balon pani Grzędzianki mógł sobie skracać drogę, lecąc zawsze powietrzną linią, przeto też, pragnąc uniknąć nieprzyjemnego starcia, wypadło zachować ostrożność jak największą.

Po dziewięciu dniach takiej podróży stanął wreszcie „Nautilus“ u swego celu. Była to koralowa ławica, powstała prawdopodobnie w bardzo odległej ziemskich dziejów dobie. Po tysiącach i tysiącach lat, jakich oczywiście było potrzeba na utworzenie się tak wielkiej lawy, wyniosło ją powolne podnoszenie się morskiego dna, wraz z kamiennem jej podścieliskiem, wysoko ponad powierzchnię morza, tworząc wyspę, mającą kilka mil angielskich obwodu, która się po nowych tysiącach i tysiącach lat, skutkiem powolnego wietrzenia swej powłoki, pokryła naprzód warstwą wapna, a następnie rodzajnej ziemi. Objąwszy wysepkę tę w posiadanie, zamienił ją pradziad dzisiejszej tego ustronia właścicielki; słynny dziwak i miliarder amerykański Benjamin Young, w park rozkoszny, w którego wnętrzu urządził sobie przepyszne letnie mieszkanie, wykute pod ziemią, w koralowych pokładach. Trudno było pomyśleć coś fantastyczniejszego nad tę rezydencję, urządzoną z całą wygodą i zbytkiem, jaki wymarzyć mógł dziwacki umysł amerykańskiego bogacza, a urzeczywistnić olbrzymia wiedza; którą się słusznie mogli szczycić synowie XX wieku.

Mistres Arabella, objąwszy podziemny pałac ten w posiadanie, urządziła w nim kaplicę

dla wielkiego Buddy, obsługiwana przez trzech młodych, lecz wielce pobożnych i poważnych bonzów, w białych szatach i z czarnemi jak węgiel brodami. W onej to kaplicy właśnie miały się odbyć zaślubiny młodej pary, ściśle według buddhaistycznego rytuału, ułożonego przez Mistres Young programu.

Skoro się tedy w kaplicy pojawił nasz bohater, poprzednim trzydniowym postem wygłodzony, a ogłupiony samotnem rozmyślaniem o tej nieznosnej teozoficznej „pile,“ którą mu narzuciła fanatyczna Amerykanka, a której się „aż do skutku,“ chcąc nie chcąc, musiał poddawać, wraz go, z całą Nizmanakai przynależną czcią, w swoją usługną opiekę pochwycili kapłani. Zaprowadziwszy go do wspaniałej, a wodą z umieszczonego w pałacu chemicznego laboratorium zasilanej łazienki, którą zdobiły marmurowe posągi trytonów i amfitryt, przypatrujących się tej szopce z uciesznem zdziwieniem, jeli go, wpośród modlitw, bonzowie zlewać wodą i smarować wonnymi olejkami. Następnie przyoblekli go w długą, białą, wełnianą szatę i zawiedli znowu do kaplicy, gdzie musiał przesiedzieć jeszcze cały dzień, przysłuchując się psalmodyi kapłanów i wpatrując w okurzony kadzidłami posąg Cakya-Mouniego, który tam siedział na podwyższeniu, z za-

spaną twarzą i ze złożonemi na brzuchu rękami. Wreszcie oddalili się kapłani, by sprowadzić oblubienicę.

Weszła przy dźwięku rogów, prowadzona przez dwóch bonzów, i odziana w śnieżnej bieli, z twarzą przysłonią koronkowym welonem, i cała drżąca ukłękła przy boku kochanka. Najstarszy z kapłanów zjednoczył ich ręce i, położywszy im dłonie na głowy, odmówił długą jakąś modlitwę; poczem rozpiąwszy welon, odsłonił zapłonioną twarz oblubienicy. Ceremonia była skończona; Czarny Tulipan i margrabianka byli wobec wielkiego buddhy mężem i żoną.

Ale nie na tem koniec „szopki,“ którą obmyśliła była Mistres Arabella, i którą z uporem amerykańskiej rasie właściwym, zamierzała odegrać do końca, nie oszczędzając nowożeńcom żadnego szczegółu. Po wspólnem spożyciu weselnej uczty, odprowadzono oblubienicę przy dźwięku rogów do małżeńskiej sypialni; Czarny Tulipan zaś musiał w towarzystwie bonzów udać się jeszcze do kaplicy, celem złożenia wielkiemu Buddzie dziękczynnej ofiary. Dopiero po upływie godziny przybyła Mistres Arabella, i ująwszy naszego bohatera za rękę, zawiodła go do pokoju, gdzie, przysłonięta kotarą z różowego atlasu⁶

znajdowała się łóżnica, dla nowożeńców przygotowana. Tutaj, wskazawszy mu dłonią oczekujące go gniazdko uroczę, pożegnała go z całą uroczystością, odpowiadającą ważności tej chwili i misyi, którą spełniła.

— Sami! Nareszcie sami!—zawołał Czar-ny Tulipan, odetchnąwszy głęboko.

Spojrzał na różową kotarę, oświetloną blaskiem nocnej lampy, która się za nią paliła, i krew, odmłodzona poczwórną dawką skoncentrowanej *Vitaliny*, zagrała mu rozkosznie w tętniących skroniach. Tam za tą kotarą była ona, do której tęsknił lat tyle, której przez lat sto pięćdziesiąt dziewięć szukał daremnie; niby Thetis, spowita w różowym obłoku, spoczywało tam jego drugie „Ja,“ oczekując jego przybycia. Figlar-nie uśmiechnięty amerek, z paluszkiem na ustach, nakazującym milczenie, z wyciągniętą ku widzowi rączką, stał przy rąbku zapuszczonej kotary, jak gdyby broniąc przystępu do tego przybytku. Ale uśmiech i ruch jego ręki zdawał się raczej nęcić i kusić, aniżeli odstraszać. Z sercem wezbranem tęsknotą, szczęściem swem upojony nad wszelkie wyrazy, zbliżył się nasz bohater do kotary.

„Nagle stało się coś strasznego!“ U drzwi; któremi przed chwilą wyszła Mistres Arabella,

ozwał się łoskot piekielny. Zdziwiony tym hałasem przystanął Czarny Tulipan nasłuchując. Nie było wątpliwości, ktoś się dobywał do jego schroniska. Oburzony porwał nóż japoński, wiszący tam w panoplii na ścianie, i gotów zabójstwem bronić swego szczęścia, podbiegł ku drzwiom.

— Kto tam?—zawołał głosem, który dławilo gniewne wzruszenie.

— Ja! — ozwał się dyszkant piskliwy.

Bohater nasz zadrżał, grozą przejęty. W mgnieniu oka rozpoznał całą tragiczną swego położenia. To Niezabudka, wyszedłszy jego kryjówkę, przychodziła teraz, aby mu w ostatniej chwili wydrzeć to szczęście, którego był nareszcie tak blisko.

— Co za ja?! — wrzasnął zdjęty trwogą i rozpaczą.

— To ja! chłopiec z drukarni. Przychodzę po manuskrypt.

Wyrazy te rozwiały czar, który go pętał do tej pory. Z przed oczu znikła mu różowa kotara i figlarnie uśmiechnięty amarek. Przybytek, gdzie go oczekiwało szczęście, z takim wyglądem upragnieniem, zamienił się w brudny hotelowy pokój. I on sam także dziwnemu uległ przeobrażeniu. Był to w tej chwili siwy, pięćdziesięciodziewięcio-letni

starowinka, o łysiejącem czole i zmarszczkami pooranem licu. Zdziwiony, powiódł okiem po swem mieszkanku, napróżno w nim szukał onego wspaniałego zbytku, którego widok nęcił przed chwilą jego oczy. Na ścianie wisiał osnuty pajęczyną kalendarzyk, wskazujący rok 1893; na stole leżały porozrzucane książki i spory zwój drobnem pismem zapisanego papieru. Westchnąwszy, przetarł oczy, i przywoławszy chłopca, kazał mu usiąść i chwilkę zaczekać. Poczem dobywszy z szuflady ćwiartkę listowego papieru, wziął pióro do ręki i jął pisać, co następuje:

Szanowny redaktorze!

Zechciej mi łaskawie wybaczyć, że ci nie posyłam sprawozdania z książek, które mi dałeś do oceny. Nie moja to wina! Zacząwszy je czytać, popadłem w jakiś dziwny stan medyumistycznej prostracyi, w której ciało moje astralne, oddzieliwszy się od fizycznego ciała, poszło bujać w dziedzinie ułudy, w rozkosznej krainie Avelun, gdzie kwitnie błękitny kwiat romantyki, i w każdej róży kielichu spoczywa urocza sylfida, a na każdym listku kołysze się chochlik psotliwy i wesoły. Równocześnie jednak zachowało fizyczne ciało moje świadomość tego nadzwyczajnego zjawiska, i podczas,

gdy moja Linga Szaryra, spowita w przedzę babiego lata, unosić się dawała swawolnemu wietrzykowi po krainie fantazyi, spisywała moja Kama Rupa wiernie jej przygody.

Posyłam Ci, zamiast przyobiecanych sprawozdań, rękopis ten, kreślony pod wpływem onego literackiego *delirium*, o którym powiedział niegdyś Flaubert, iż ono jedno może jeszcze rzucić jakąś pozłotę, na szarą przedzę naszego żywota. Może czytelnicy szacownego pisma twojego raczą łaskawie przyjąć utwór ten, wyodrębniający się jak sądzę, z tej pesymistycznej literackiej powodzi, która się pod wpływem realizmu, naturalizmu, veryzmu, symbolizmu, dekadentyzmu i innych tym podobnych *izmów*, rozlała u nas tak szeroko; może mu dla tej jego chochlikowej pustoty wybaczą śmielsze jego wybryki i to szyderstwo, które tu i owdzie zbyt głośno niekiedy w nim rozbrzmiewa, może go nawet rozgrzeszą z licznych jego braków, dla tej jedynej zalety, iż bądź-co-bądź nie jest szalonym i starał się przedewszystkiem zabawić czytelnika!...

Co jednak o nim powie krytyka, nasza snobbowska krytyka; która tak wysoko ceni szablony i ów kunszt robienia powieści, wedle znanej recepty jarmarkowych kuglarzy: „Ten sam sztuk na inny manier?“ Co o nim powie-

dzą Arystarchowie nasi, lubujący się tylko w „szlachetnej tendencji“ i analizujący z taką „subtelnością finezyją“ aromat rozmaitych powieściowych i nowelistycznych *Rocks-Drops*, o stanowczo marchwianym smaku? Prawdopodobnie odsądzają tę fantazyę od wszelkiej literackiej wartości, a może też, bo i to bywało, odkrywają, że to jest plagat z Ariosta, że to poprostu Orland szalony, przetransponowany na Vernowską partyturę, i że (*berekekeke, koaks, koaks!*) więcej w moim „Wiek XX“ jest z Ariosta i Verne’go, aniżeli z Czarnego Tulipana?

Mniejsza o to! Co do mnie, pragnąłbym tylko, aby to moje opowiadanie, do którego zresztą nie przywiązuję żadnej pretensyi, tak ubawiło czytelników, jak bawiło mnie samego podczas gdym je pisał. Poza tem nie umiałbym wcale powiedzieć, czego ono chce i czego dowodzi, bo „jak fajerwerk z rac kilku tysięcy, chciałem, aby spłonęło tylko... i nic więcej!“

Racz przyjąć szanowny Redaktorze uścisk dłoni życzliwego sługi:

Czarnego Tulipana.

Za zgodność z oryginałem:

Włodzimierz Zagórski.

